FUSS MAGAZYN

NUMER 12 (3) MAJ 2015
ISSN 2300 - 3758
WWW.FUSS.COM.PL

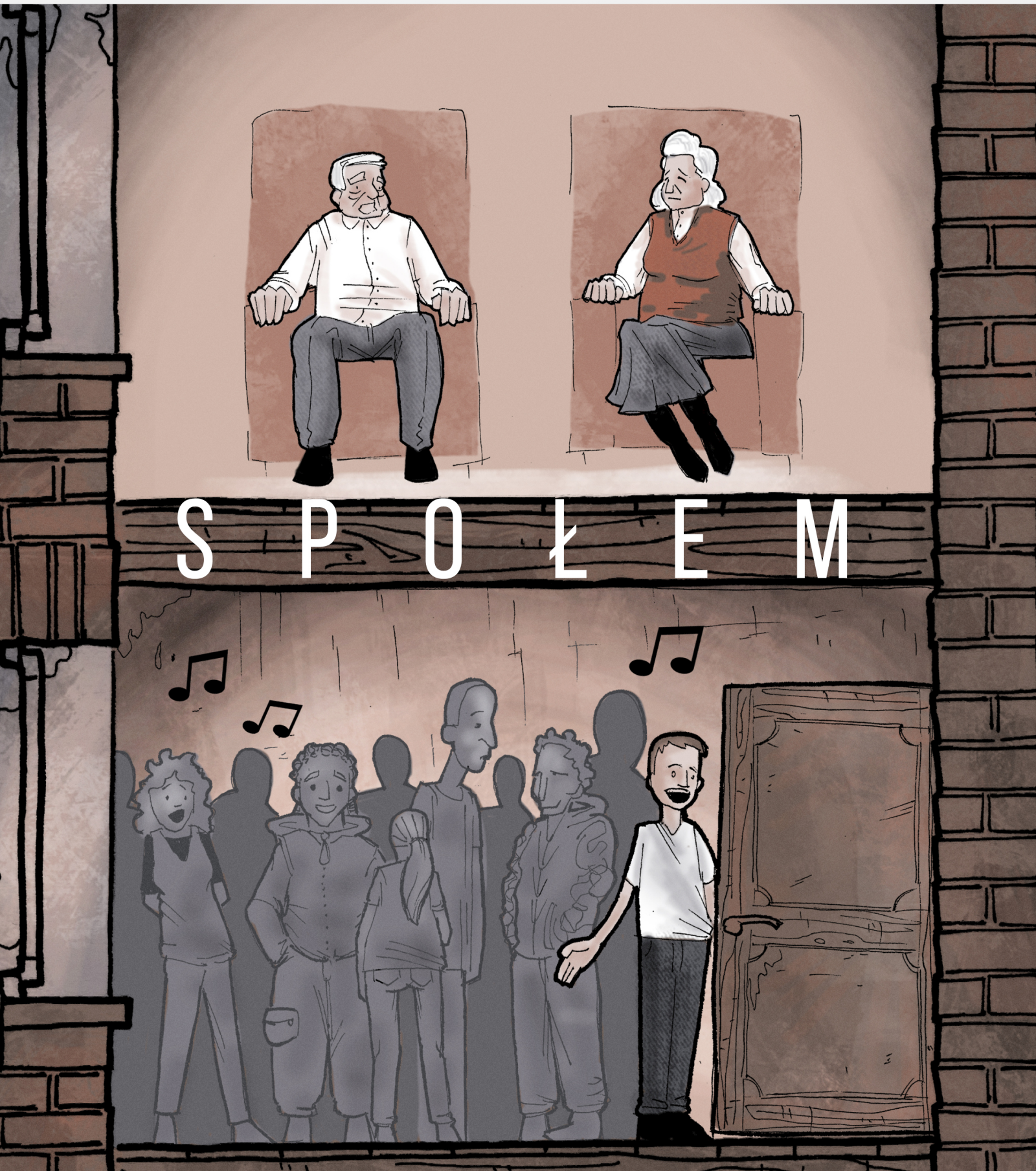

SPOŁEM

SPIS TREŚCI.

BIO ART I TECHNOSZTUKA- O WSPÓŁPRACY NAUKI I SZTUKI 4
SEBASTIAN ŁĄKAS | DAWID MALEK

O WSPÓLNOTOWYM
ASPEKCIE KINOFILII, CZYLI ALTERNATYWNY PRZEWODNIK PO AMSTERDAMIE 8
KATARZYNA NOWACKA | JERZY JACHYM

KOLEKTYW POZA SPOŁECZEŃSTWEM, CZYLI JAK PRZEŻYĆ
W JAPONII I NIE ZWARIOWAĆ 15
MAGORZATA DUDEK

RAZEM W CHAOS 22
JOANNA KULIK | MAGDALENA ŚLÓSARCZYK

JAK RATOWAĆ ŚWIAT SMARTFONEM? 26
DAGMARA MARCINEK | MAGDALENA KOŹLICKA

KLUB FITNESS JAKO INSTYTUCJA KULTURY 30
JULIA CYDEJKO | AGATA TRYBUS

WSPÓŁDZIAŁANIE, GŁUPCZE! 36
JAKUB KUSY | MAŁGORZATA RYBKA

SLACKTYWIZM, CZYLI INTERNETOWA „PARTYZANTKA” 40
MARTA STAŃCZYK | MICHAŁ ADAMIEC

SPIS TREŚCI.

WSPÓLNE DO BÓLU, CZYLI KURTKA I EKSPRES DO KAWY, KTÓRE WIEDZĄ O TOBIE WSZYSTKO 46
AGATA WIECZOROWSKA | WERONIKA „WERA" GRZYWA

ARS COOPERATIO – SZTUKA WSPÓŁPRACY JAKO „LITERACKA KOOPERACJA" 50
ADRIAN TURZAŃSKI | KATARZYNA DOMŻALSKA

SĄSIAD 56
MACIEJ MAKELSON | JUDYTA MIERCZAK

SPOŁEM 60
KOMIKS
ŁUKASZ MUNIOWSKI | MARIUSZ HOŁOD

ŻEBY BYĆ DOBRYM, WYSTARCZY UŚMIECH 64
BARBARA TRUCHAN | KASIA MATYJASZEWSKA

© FUSS MAGAZYN
ISSN 2300-3758

REDAKCJA:
REDAKTORKA NACZELNA: MAGDALENA URBAŃSKA
ZASTĘPCZYNI REDAKTORKI NACZELNEJ, SKŁAD: KLAUDYNA SCHUBERT
ILUSTRACJA NA OKŁADCE: MARIUSZ HOŁOD, ŁUKASZ MUNIOWSKI
REDAKCJA I KOREKTA: MARTA STAŃCZYK

WYDAWCA:
CELEDU ANNA KATARZYNA MACHACZ
UL. CEGIELNIANIA 13/30
30-404 KRAKÓW

WWW.FUSS.COM.PL | REDAKCJA@FUSS.COM.PL

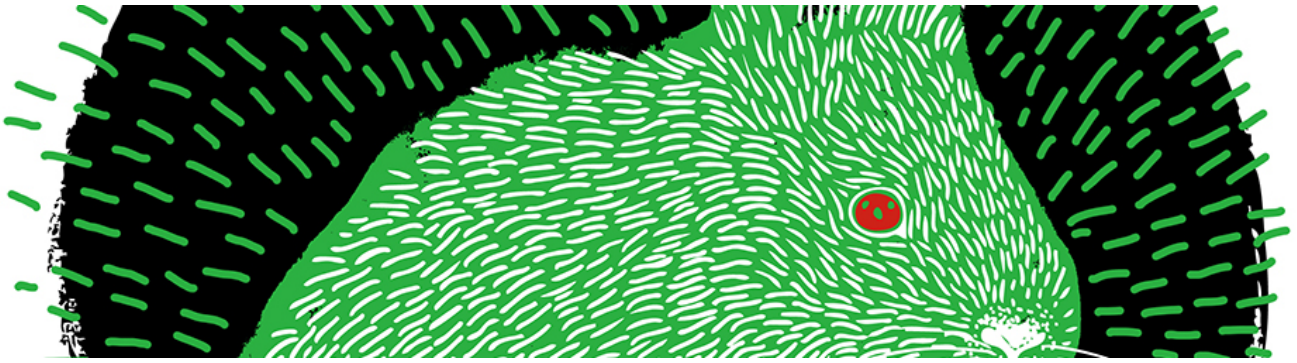

BIO ART I TECHNOSZTUKA- O WSPÓŁPRACY NAUKI I SZTUKI

SEBASTIAN ŁĄKAS | DAWID MALEK

W codziennym obyciu Alba była zwyczajnym królikiem albinosem. Żyła wraz ze swoją człowieczą rodziną – Eduardem, jego żoną Ruth oraz córką Miriam. Alba nie była jednak podobna innym królikom. Posiadała ukrytą cechę – jej sierść w ciemności zaczynała emitować zielone światło. W ciało wprowadzono syntetyczny gen zbudowany na bazie genu fluoroscencyjnego meduz *Aequorea Victoria*. Nie zmieniło to w żaden sposób życia Alby, jednak w środowisku artystycznym i naukowym zawrzało, przekroczona została bowiem odwieczna, wydawałoby się, granica między dziką naturą a cywilizowaną (haha!) kulturą.

Medialna burza, jaka przetoczyła się po pokazaniu światu Alby w 2000 roku, nie zakończyła się po dziś dzień. Eduardo Kac to bowiem twórca tzw. sztuki transgenicznej, która wpada w szeroki już nurt bio artu, powstałego dzięki współpracy ludzi nauki, techniki i sztuki. Alba jest przykładem najbardziej radykalnego odłamu sztuki biologicznej, która za pomocą technologii ingeruje w strukturę genetyczną żyjącego osobnika, wprowadzając do niego nowe cechy. Zawieszona zostaje tożsamość i własna, ewolucyjna dynamika natury zwierzęcej. Alba również szokuje, bowiem taki przykład wizualnie przekłada się na wyobrażenie penetracji genomu ciała ludzkiego.

BIO ART – SZTUKA HYBRYD

Alba to tylko jeden z setek przykładów sztuki biologicznej, która w wyrazisty sposób zmienia tradycyjne granice pojęcia i dyscypliny nauki oraz sztuki. Bio art można podzielić na przynajmniej trzy sposoby: 1. Trans-formacji (twórczego zrekonfigurowania) materiału biologicznego za pomocą technologii; 2. Użycia biotechnologii w kreowaniu nowych sytuacji estetycznych i krytycznych; 3. Ingerencję technologii w „mięso" zwierzęce (w tym ludzkie!), za pomocą technologii. Przykładami tych praktyk są np. wyhodowanie „żyjącej kurteczki" z komórek ludzkich i mysich, podłączenie zmrożonych

wcześniej serc do sztucznej instalacji, która przywraca im funkcje „życiowe", wyhodowanie z własnych komórek macierzystych i biodegradowalnego szkieletu ucha ludzkiego na przedramieniu. W bio arcie dochodzi więc do praktyk zmieniających bezpieczną, zdawałoby się, strukturę cielesności, narusza się skórę, przecina anatomiczne architektury i kreuje z ich fragmentów hybrydy będące dotychczas jeno mitologicznymi wyobrażeniami (pop) kulturowymi. Artefakty te powstają głównie w kooperacji z inżynierami – dają oni artystom narzędzia do realizacji ich pomysłów.

Victimless Leather - A Prototype of Stitch-less Jacket Grown in a Technoscientific Body to „kurteczka" wyhodowana z mysich i ludzkich komórek, jakich tony zalegają w laboratoriach naukowców, powstała w ramach Tissue Culture and Art Project (TC&A). Po zakończeniu projektu kurtki należy zlikwidować, „zabić", czym zajmują się artyści lub personel galerii. Następuje odarcie artefaktu kulturowego z pozornej neutralności, jaką przypisuje się działaniom procesów technologicznych i ich produktom. Jednocześnie decyzja należy nie do jednej osoby, lecz jest wynikiem wypracowanego konsensusu. Podobnie przykładem pracy oddanej w ręce wspólnoty odbiorców i interaktorów jest *Semi-Living Worry Dolls* duetu Oron Catts i Ioant Zurr. Owe pół-żyjące, rozwijające się z tkanek laleczki to zszyte nicią chirurgiczną analogie zabawek, które w gwatemalskiej kulturze pełnią rolę spowiedników, słuchając zawierzanych im lęków i wątpliwości. Często jednak bio-artowe lalki ze względu na swoją mięsistość budzą wstręt, który w istocie cechuje także podejście do naszej własnej cielesności, zakrywanej skrzętnie ubraniem i metaforyzującej „wnętrze" jako siedlisko duszy czy myśli, a nie rozlazłych, lejących się, lepkich bebechów.

Jak pokazuje performance-instalacja *The Body is a Big Place,* bio art operuje też na granicy kompetencji ludzi medycyny, inżynierów od instalacji i twórców sztuki cyfrowej. Duet Peta Clancy i Helen Pynor, dzięki kooperacji z fizjologami Johnem Headrickiem i Jasonem Peartem, konstruują bio-rzeźbę, która składa się z instalacji i podłączonej do niej pary serc świńskich, uzyskanych nieinwazyjnie po śmierci tych zwierząt. Instalacja jest tak skonstruowana, że świńskie serca dostają repliki potrzebnych do odżywiania substancji (fizjologiczny roztwór glukozy, soli, tlenu i dwutlenku węgla), a następnie zostają podłączone do układu, który wytwarzając odpowiednie ciśnienie krwi, tworzy zamknięty „układ krążenia", w 50% przypadków przywracający serca do pracy. Praca ta pokazywana była kilkakrotnie w galeriach, częściowo z sukcesem przywracając narządy do „życia". Estetyczność przestrzeni wystawy jest zwykle stworzona przez wielkie ekrany wyświetlające filmy, na których widać siedzących i odpływających w basenie ludzi – dawców, biorców i bliskich, którzy przeżyli transplantację narządów. Co znaczące, cała procedura transplantacji jest możliwa dzięki ustalonej przez medyków, a zapośredniczonej filozoficznie, definicji śmierci mózgowej, która następuje najszybciej, zaś blisko 97% organów wewnętrznych jest

wciąż sprawnych. Okazuje się, że śmierć mózgowa stawia człowieka i zwierzę w obliczu uprzedmiotowienia tego, co przed chwilą było podmiotem, tylko dzięki ustaleniu wspólnej definicji narzuconej z zewnątrz.

Uprzedmiotowienie podmiotów żyjących jest też problematyką prac Stelarca, który poprzez wyhodowanie z własnych komórek macierzystych ucha na przedramieniu i umieszczenie w nim (w przyszłości na stałe) transmitera i systemu Wi-Fi chce „udostępniać" ciało tu-i-teraz. Tworzy to projekt rozbitego na części Ciała Fraktalnego, którego poszczególne narządy mogą być używane przez inne osoby, tworząc sieć wzajemnych relacji, mediowanych za pomocą technologii. Futurystyczne wizje literackie nabierają kolorów i nowego znaczenia, łącząc jednostki w nierozerwalne wspólnoty.

MOKRE MEDIA

W tradycyjnym ujęciu sztuka „coś" reprezentuje – czy to wizerunki zwierząt, czy ludzi, wytwory cywilizacyjne i figury wyobraźni. Wykorzystany materiał traktowany był jako niezbędna podstawa, którą iluzorycznie można przetworzyć w co innego, zakrywając materialność płótna, rzeźby, unieszkodliwiając sztuczność materiału – medium, przekaźnika, nośnika, który udawał, że jest czym innym. Przełamanie tego paradygmatu, mimo że obecne w działaniach awangardy od blisko stu lat, najdobitniej zachodzi właśnie w sztuce biologicznej. Nie wyzyskuje się tutaj materiału do pokazania czegoś innego, bio art prezentuje sam siebie, wykorzystując kultury tkankowe, biomasy zalegające w laboratoriach, korzystając również z pochodzącej stamtąd technologii, operuje czystą wizualnością. Opisuje się go za pomocą terminu *wet media* – mokrych mediów.

Oznacza to, że dzieła bioartu są żywe lub pół-żyjące! Koniec z martwą materią płótna czy cybernetycznymi iluzjami interaktywności. Bio art rozmazuje granicę między ożywionym i martwym, podmiotem i przedmiotem, problematyzuje moralność, każąc wypracować nową etykę w świecie społeczeństwa spektaklu. Jednostkowe dzieło staje się postulatem zmiany społecznej, zmuszając do zatarcia granicy oddzielającej poglądy indywiduum od grupy. W takim znaczeniu sztuka nabiera wartości poznawczych, ukazując, że często twórczość wykorzystująca nowe media idzie w parze z namysłem filozoficznym, stając się pewnym zjawiskiem wspólnym całej kulturze, a nie tylko artefaktem podlegającym ocenie i analizie zamkniętego grona krytyków czy historyków sztuki.

TRZECIA KULTURA

Wszystkie opisane działania nie mogłyby zajść bez współpracy artystów, naukowców, inżynierów, personelu medycznego, techników. Dotychczasowe sytuowanie praktyk artystycznych na przeciwległym w stosunku do nauki biegunie kultury to instytucjonalna blaga, dziedzictwo oddzielenia nauk szczegółowych od filozofii i późniejszego rozluźnienia wszelkich więzów z innymi dyscyplinami. Istnieją wszak cechy wspólne nauce i sztuce. Przede wszystkim posługiwanie się technologią (wiedzą o procesach wytwarzania), kreatywność, często też intelektualny charakter koncepcji, ciekawość świata, teoretyzacja i wizualne opracowanie wyników. Źródłowym bodźcem do tworzenia inter- i transdyscyplinarnych praktyk było ogłoszenie eseju C.P. Snow`a w 1959 roku. Szeroko dyskutowany przez kilka następnych lat, krytykował rozdział nauk humanistycznych i naukowych, powodujących zatracenie zdolności całościowej interpretacji świata. Beznadziejna wrogość i ufanie tylko swojej „prawdzie" miało zostać przekroczone przez wykształcenie tzw. „trzeciej kultury". Jej cechami są przede wszystkim integracja między różnymi porządkami naukowymi i humanistycznymi, wchłonięcie technologii oraz wytworów społeczeństwa informacyjnego i sieciowego. Zachodzi więc zespolenie dziedzin dotychczas postrzeganych jako odrębne i zamknięte na siebie. Stephen Wilson już w 1996 roku pisał, że dzisiejszy artysta nie może poddać się technologicznym teoriom kształtującym świat, lecz powinien być częścią procesów transformujących kulturę, eksperymentując i wykorzystując w praktyce nowe propozycje naukowe. Tyle tylko, że to nie sami artyści zdobywają naukową wiedzę (a przynajmniej nie zawsze), lecz dzięki tworzeniu kooperatyw z naukowcami wymie-

niają się pomysłami i doświadczeniami technologicznymi, łamiąc tradycyjne wyobrażenie i zasadę jednoosobowego autorstwa dzieła.

Bio art, pozostając w sferze estetyki, uruchamia myślenie polityczne, koniec końców dotyczy więc wspólnoty, warunku pojawienia się wszelkiej współpracy (np. rozpatrującej prawno-etyczne wątki wykorzystania biotechnologii). Burza po zmodyfikowanej przez Kaca (oraz współautorów projektu: Louis Beca, Louis-Marie Houdebine'a i Patricka Prunet'a) Albie pokazuje, jak bardzo zapominamy o społecznych skutkach wyizolowania z życia codziennego praktyki naukowej. Bio art unaocznia i upomina się o odpowiedzialność społeczną.Transdyscyplinarność trzeciej kultury, której bio art jest tylko częścią, wykraczając też poza jej definicję, proponuje podjęcie kwestii filozoficznych i światopoglądowych za pomocą praktyk artystycznych operujących językiem uniwersalnej, wizualnej wrażliwości. Dzięki temu kończy zatem narrację uzależnioną od języka i kompetencji jednostki i wchodzi w rejon tego, co społeczne.

SEBASTIAN ŁĄKAS
Zdyplomowany historyk sztuki, procesujący się ze studiami filozofii na katowickim UŚ. Akademia to prawie nic, więc dalej sobie rzepkę skrobie.

DAWID MALEK
Studiuje projektowanie graficzne na ASP w Katowicach. Zajmuje się głównie ilustracją prasową i książkową.

O WSPÓLNOTOWYM ASPEKCIE KINOFILII, CZYLI ALTERNATYWNY PRZEWODNIK PO AMSTERDAMIE

KATARZYNA NOWACKA | JERZY JACHYM

W 1995 roku Susan Sontag ogłosiła śmierć kina w artykule *Wiek kina* (głośny przedruk z 1996 roku dla „The New York Times" pt. *The Decay of Cinema*); wokół sędziwej, stuletniej już X muzy zaczęły gromadzić się pesymistyczne wizje. Sontag opisała cykl życia kina, które w czasie publikowanej przez nią diagnozy miało chylić się już ku upadkowi. Ważnym aspektem poruszonym przez autorkę był zanik doświadczania seansu w kinie – oglądanie filmów w domu stanowi dla Sontag zaledwie blady cień spotkania z kinem, wyklucza zupełnie możliwość (konieczność?) dania się „porwać" filmowi (ang. *being kidnapped:* „To be kidnapped, you have to be in a movie theater, seated in the dark among anonymous strangers"). Może to jednak nie tyle samo kino, co kinofilia umarła? – pyta Sontag przywołując historię szlachetnego kinofilskiego ruchu, zapoczątkowanego w latach 50. we Francji. Wydaje się, że to śmierć pewnych intelektualnych elit miałaby się przekładać na śmierć samego kina. W swej defetystycznej diagnozie autorka nie pozostawia miejsca na niedomówienia: jeśli kinofilia umarła, nie żyje również kino.

W ostatnich latach zmieniło się jednak pojmowanie kinofilii – mówi się, że wcale nie umarła, że ma się świetnie, że po prostu wygląda zupełnie inaczej. Że miłośnicy fil-

mów z całego świata w swym afekcie do kina nie ustają, a kinofilia żywi się po prostu innymi doświadczeniami i innymi nośnikami zapisu danych, co nie znaczy wcale, że uległa degradacji – zmienia się po prostu razem z czasami. I tak współcześni kinomani mają dzięki internetowi błyskawiczny dostęp do obrazów z całego świata, mogą budować swoje kolekcje na DVD i Blu-ray i ekscytować się jakością kopii filmowych w idealnych warunkach profesjonalnego kina domowego. Mniej kosztowną i zapewne częściej praktykowaną opcję stanowi jednak oglądanie filmów na komputerze (a nawet na ekranie smartfona!) – zagorzali fani X muzy ciągle gromadzą tytuły na swoich dyskach zewnętrznych, pełniących rolę domowej wideoteki, ale najbardziej powszechnym rozwiązaniem stają się streamingi internetowe. Istnieje dość wysokie prawdopodobieństwo, że dużo mniej czasu zajmie nam obecnie wyszukanie danego filmu w sieci niż metodyczne (albo nie) przegrzebywanie własnych archiwów.

„DODATKOWĄ RADOŚĆ WIDZOWIE UNDERGROUNDOWYCH PROJEKCJI CZERPIĄ WIĘC Z ICH LOKALIZACJI, ZWŁASZCZA KIEDY MUSZĄ TAM TRAFIĆ PO RAZ PIERWSZY.

Również ja na marginesie tej dyskusji chciałabym wtrącić swoje trzy grosze. Chociaż oglądam mnóstwo filmów na ekranie własnego laptopa, to pragnę zauważyć, że kinofilia w tradycyjnym rozumieniu tego terminu wcale nie umarła, ludzie ciągle potrzebują emocji związanych z wyprawą do kina, a filmy w grupie ogląda się po prostu f a j n i e j ! W gigantycznym szumie informacyjnym i codziennym trybie wielozadaniowym coraz trudniej jest się na czymkolwiek skupić. Dla mnie osobiście wytrwanie w skupieniu ok. 90 minut przed ekranem komputera – bez kompulsywnego klikania w milion otwartych zakładek przeglądarki internetowej i bez równoczesnego obsługiwania kilku aplikacji na smartfonie – stanowi nie lada wyczyn, ba, jest prawie w ogóle niemożliwe. Uwielbiam za to chodzić do kina: zapaść się w ciemności w (nawet niewygodnym!) fotelu i, z czego na pewno ucieszyłaby się Sontag, dać się porwać filmowi. Czasy się zmieniają, wiadomo, „w małym kinie nikt już dzisiaj nie gra na pianinie" itd., ale ja chciałabym opowiedzieć o miejscu, gdzie ludzie spotykają się, by wspólnie obcować z wielkim ekranem, a formuła prelekcja-projekcja-dyskusja jest tak aktualna, jakby dyskusyjne kluby filmowe powstały zaledwie wczoraj.

W sierpniu 2012 roku, z solidnie skręconą kostką i ponad 30-kilogramowym bagażem, przeprowadziłam się do Amsterdamu, nie bardzo wiedząc, co mnie tam czeka. Miasto kanałów, rowerów i marihuany nie kojarzyło mi się specjalnie z kinem, ale jak szybko miało się okazać, rozpoczynał się właśnie najbardziej niezwykły pod względem oglądania filmów rok mojego życia. Pierwszego wieczoru, nie mając pojęcia, co ze sobą zrobić, zalogowałam się na swoje konto na couchsurfingu, zdecydowana pójść gdziekolwiek, byle tylko poznać kilka osób, przespacerować się po mieście i miło spędzić czas. Okazało się, że trwa właśnie festiwal filmowy Pluk de Nacht (co, podobnie do *carpe diem*, oznacza: chwytaj noc), a grupka couchsurferów umawia się tam, żeby obejrzeć wieczorny program.

Jak sama się później przekonałam (i doczytałam), Pluk de Nacht to największy open-airowy festiwal filmowy w

Holandii, który oprócz Amsterdamu odbywa się w Arnhem i Hadze. Organizowany jest przez fundację i opiera się na wolontariacie, a projekcje są dla widzów bezpłatne (symboliczna opłata jedynie w Hadze). Odbywa się corocznie od 2003, a w jego repertuarze znajduje się mieszanka filmów z całego świata, głównie niedystrybuowanych wcześniej w Holandii, często znanych z rozmaitych międzynarodowych festiwali – długie i krótkie metraże, dokumenty, animacje, żadnych ograniczeń gatunkowych. W Amsterdamie na małym cyplu na rzece Ij, 10 minut od dworca głównego, powstaje letnie miasteczko festiwalowe, pełne leżaków, drewnianych ławek, kocy i poduszek, kolorowych chorągiewek i lampionów, a nade wszystko niezrażonych pogodą kinofili. To miejsce dla niezależnej kultury wyjątkowe również z tego względu, że festiwalowa lokalizacja jest ostatnim skrawkiem niezagospodarowanej ziemi, który oparł się zabudowie i supernowoczesnej nadrzecznej architekturze, od dekady skutecznie dominującej okoliczny krajobraz.

Pokaz tamtego wieczoru był bardzo udany; pamiętam, że oglądaliśmy jakiś koreański film – początkowo wpra-

wił on widownię w lekką konfuzję, ale równie szybko ją oczarował; dzieliliśmy się polarowymi kocami i białym winem, a nowi znajomi nauczyli mnie kilku słów po holendersku. Następnego dnia podczas pierwszej wizyty na uczelni poznałam kilka osób, które tak jak ja dopiero przyjechały do Amsterdamu i od razu zaproponowałam im spędzenie kolejnego wieczoru na festiwalu. Później z kolei to ja „dostałam cynk" – koleżanka, którą zabrałam na projekcję nad rzekę, powiadomiła mnie o pokazie filmowym w squacie niedaleko naszej uczelni; podobno można zapisać się na jakąś tajemniczą listę mailingową, a filmy wyświetlane są w wielu ciekawych miejscach. I tak wokół kina zaczęły zawiązywać się nowe przyjaźnie, a przed kinofilami na rowerach powoli rozpościerała się alternatywna mapa Amsterdamu.

Kolejna projekcja, na którą trafiłam, odbywała się w Slangenpad, czyli sławnym w alternatywnych kręgach żółtym budynku z wielkim wężem wymalowanym na fasadzie. Okazało się, że squat, który od ponad 30 lat był ważnym centrum artystycznym i społecznościowym (niestety w ubiegłym miesiącu zamknięty, ale tego typu niepowetowane straty, rozbijanie wspólnot, eksmisje i aresztowania to temat na osobny artykuł), we środy gości darmowe projekcje filmowe organizowane przez Amerykanina, Jeffreya Babcocka. Do środka trzeba było dostać się przez mało widoczne, zamalowane graffiti drzwi, a w środku panowała bajeczna atmosfera: skrzyżowanie garażu z alternatywną galerią sztuki, projektor filmowy, rzutnik i drobinki kurzu w smudze światła, ekran na pół ściany, mnóstwo starych krzeseł i kolorowych poduszek, zaimprowizowany bar, gdzie za symboliczną opłatę można było napić się piwa albo wina (z kolorowego plastikowego kubka!), pokaźna grupa ludzi – mówiących różnymi językami, w najrozmaitszych ubraniach, zdarzało się nawet, że ktoś przyprowadzał psa. Wszystkich tych ludzi łączyło jedno – postanowili spędzić wieczór oglądając film, w ciemnej sali, dzieląc to doświadczenie z innymi. To niezapomniane przeżycie zmobilizowało mnie do poszukiwania podobnych spotkań i szybko zaznajomiłam się z siecią undergroundowych kin Jeffreya (zostałam też włączona do jego tajemniczego newslettera) oraz z innymi inicjatywami tego typu. Na kolejne projekcje zabierałam ze sobą coraz to nowych znajomych, czasami wdawałam się w dyskusje z przypadkowymi widzami albo z samymi organizatorami. Chociaż takie wydarzenia z założenia gardzą mediami społecznościowymi i typowymi kanałami dystrybucji informacji (praktykując w zamian tworzenie np. niepowtarzalnych, ręcznie pisanych i kserowanych ulotek), postanowiłam założyć grupę na fejsbuku, zbierającą w jednym miejscu harmonogram alternatywnych projekcji filmowych. Grupa ma status zamkniętej i z założenia miała służyć tylko i wyłącznie moim znajomym, czyli potencjalnie kilkunastu-kilkudziesięciu osobom. W chwili pisania tego artykułu liczy sobie ona blisko tysiąc członków.

W Amsterdamie istnieje mnóstwo squatów i całkiem pokaźna ich liczba funkcjonuje jako lokalne centra społecznościowe. Niektóre z nich chętnie wpuszczają w swoje progi gości z zewnątrz - działają zwykle według tygodniowego grafiku, w którym często znajdują się warsztaty artystyczne, joga, koncerty muzyczne, kolektywne gotowanie (przeważnie wegańska kuchnia), swap party, czasami jakaś działalność o charakterze politycznym albo ekologicznym (miejsca te często mają zabarwienie kontrkulturowe czy lewicowe). Są one też domem dla kina i większość z nich raz w tygodniu organizuje filmowy wieczór. Repertuar bywa rozmaity, fabuły, dokumenty, kino z całego świata, czasami zaangażowane, czasami mające po prostu zapewnić dobrą zabawę. Z zasady unika się mainstreamu, mile widziana jest towarzysząca filmowi „historia" – zwykle przed projekcją pojawia się prelegent, który w kilku zdaniach wyjaśnia, dlaczego dany film wybrał, i dzieli się jakimiś ciekawostkami na jego temat. Squaty często są otwarte na współpracę i do zorganizowania takiej projekcji można się po prostu zgłosić, w końcu chodzi o dzielenie się kinem z innymi ludźmi i doświadczenie wspólnego oglądania filmu.

Początki bywają trudne; chyba niełatwo to wyjaśnić,

ale czasami człowiek czuje się „nie dość alternatywny", nie potrafi przełamać lodów i pokonać bariery między „miejscowymi" czy „regularsami" a przybyszami „z zewnątrz". Szybko okazuje się jednak, że organizatorzy i mieszkańcy są bardzo mili, a undergroundu nie warto się bać. Pamiętam, że pierwsza filmowa wizyta w squacie Op de Valreep mnie przeraziła: daleko od innych zabudowań, egipskie ciemności, błoto, składowisko starych sprzętów, ledwie garstka ludzi w środku… W momencie, kiedy ogarnęła mnie lekka wewnętrzna panika, poczucie niedopasowania oraz chęć obrócenia się na pięcie i ucieczki, zostałam przez kogoś posadzona przed ekranem, na superwygodnym fotelu koło kominka, wepchnięto mi do rąk paczkę pysznych ciasteczek i butelkę piwa, po czym ktoś jeszcze zapytał, czy nie potrzebuję koca. Szybko stałam się stałą bywalczynią projekcji filmowych (i innych wydarzeń) organizowanych w squatach, kawiarniach i malutkich zapomnianych kinach studyjnych, by wymienić miejsca takie jak: Filmhuis Cavia, De Nieuwe Anita, Joe's Garage, OT301, Pakhuis Wilhelmina, Vondelbunker, Vrankrijk etc. Można się było dowiedzieć o nich wyłącznie od znajomych, z newsletterów (jeśli znało się organizatorów) albo z oficjalnych stron internetowych tych miejsc (ergo: trzeba je było już wcześniej znać). Projekcje były albo bezpłatne (squaty) albo za niewielką opłatą w przypadku kin studyjnych czy kawiarni (ok. 2€ – bardzo mało w porównaniu do normalnego biletu do kina w cenie kilkunastu euro). Tradycyjnie do kupienia były bardzo tanie napoje, czasami zdarzały się jakieś przekąski w prezencie od organizatorów. Na miejscu zawsze można było spotkać międzynarodową mieszaninę bardzo ciekawych ludzi, niektórych widywało się regularnie co kilka dni, inni trafiali tu przypadkiem i jednorazowo, zdarzali się wśród nich i znawcy kina, i kompletni laicy. Prelekcje były najczęściej krótkie i porywające; po filmie czasami wywiązywała się rozmowa, częściej – mnóstwo mikrodialogów wśród zmierzających w stronę domu albo najbliższego baru grupek kinomanów. Elementem zabawy był zaskakujący repertuar – już kilka dni wcześniej można było co prawda przeczytać, jakie tytuły zostaną wyświetlone, ale cała frajda polegała właściwie na nieprzykładaniu wagi do tytułów i nierobieniu researchu przed pójściem do kina – w ten sposób można było równie dobrze trafić na japoński klasyk, jak i na współczesny dokument o deskorolkowej kulturze NRD. Celem było wspólne przeżycie i odnalezienie radości z oglądania „fajnych" filmów, bo fajny może być zarówno nowofalowy francuskie dzieło, jak i horror z lat 80., którego akcja rozgrywa się na ulicach Amsterdamu. Organizatorzy ze swojej strony dbali o jakość projekcji – skoro już wychodzimy z domu i odrywamy się od laptopów, to obejrzyjmy film w godziwych warunkach.

Kolejnym ważnym aspektem jest lokalizacja – siatka alternatywnych miejsc oplatająca całe miasto. Wspomniany już ekscentryczny Amerykanin Jeffrey organizuje swoje projekcje w wielu różnych miejscach, bowiem obok misji szerzenia kultury kinowej i walki z komercją, liczy się aktywizacja ludzi poprzez urozmaicone lokalizacje wyświetlania filmów. Codziennie urządza on pokazy filmowe w innym miejscu, zwykle według tygodniowego rozkładu jazdy, chociaż pojawiają się specjalnie wydarzenia, jak festiwale, projekcje połączone z muzyką na żywo albo – jak ostatnio – wyświetlanie filmów podczas demonstracji, w zajętych przez studentów budynkach uniwersyteckich. Jeffrey oferuje też pokrycie kosztu biletu, jeśli kogoś nie stać nawet na zapłacenie 2€, dzielenie się z innymi kinem traktując jako swoją życiową misję. Znana jest anegdota o przedstawicielu wielkiego multipleksu,

który bezskutecznie próbował od Amerykanina wyciągnąć przepis na sukces czy jakiś sekret organizacyjny, po tym jak nie dostał się na poniedziałkową kawiarnianą projekcję, ponieważ wszystkie bilety były wyprzedane – powszechnie wiadomo, że poniedziałek jest w branży najgorszym dniem tygodnia i sale dużych kin świecą wtedy pustkami.

Dodatkową radość widzowie undergroundowych projekcji czerpią więc z ich lokalizacji, zwłaszcza kiedy muszą tam trafić po raz pierwszy. Gigantyczne wrażenie praktycznie na każdym wywiera np. autentyczny schron militarny w samym środku wielkiego, niezwykle uczęszczanego parku. Prawie nikt o tym miejscu nie wie i jest ono normalnie zamknięte, odsłaniając swoje tajemnice tylko z okazji specjalnych eventów – wtedy trzeba już znać odpowiednią alejkę w Vondelparku i potrafić zidentyfikować krzaki, skrywające nieoznaczone drzwi w ścianie. Nie mniej ciekawe będzie też improwizowane kino, do którego wchodzi się po specjalnym podeście, przez okno, na tyłach wielkiego pomnika Buddy na mało uczęszczanym skwerze, pomiędzy zwykłymi szarymi budynkami; klubokawiarnia w podziemiach dawnych magazynów nadrzecznych doków; albo spora sala projekcyjna, pełna dziwnych instalacji i wyglądająca trochę jak teatralne kulisy - trzeba się do niej dostać przez niewidoczne drzwi, po metalowym podeście i bardzo stromych, krętych schodkach, a to wszystko na tyłach uroczej kawiarenki, która na pierwszy rzut oka wydaje się kończyć na najbliższej ścianie. Obok tych wszystkich dziwacznych miejsc znajdziemy też wiele kameralnych, kilkudniowych festiwali - często pod gołym niebem, również w oddalonych od centrum dzielnicach - czy bardzo popularny darmowy wariant IDFA (International Documentary Film Festival Amsterdam; bilety dla przeciętnego widza niestety bardzo drogie), czyli cykl darmowych open-airowych projekcji kilka miesięcy po zakończeniu oficjalnego festiwalu.

Przez cały rok w Amsterdamie tak właśnie wyglądało moje życie – sądzę, że udało mi się wiele dowiedzieć i nauczyć, poznałam mnóstwo ciekawych ludzi (którzy, tak jak ja i Susan Sontag, lubią oglądać filmy w ciemności w grupie nieznajomych). Mam też nadzieję, że przynajmniej kilka osób zdołałam zarazić pasją do kina poprzez wspólne eksplorowanie undergroundowych projekcji. Poza tym sama wygrzebałam się z dołka, czyniąc odkrycie, że jednak ciągle kocham kino, tylko widocznie nie dla mnie laptop, bo ja jestem jak widać tradycyjnym kinofilem. I myślę, że nie tylko ja!

KATARZYNA NOWACKA

Krakuska, miastofilka, miłośniczka morza i żyraf, studentka filmoznawstwa. Interesuje się kulturą, podróżami i sportem. Ma słomiany zapał, ale dzięki temu ciągle się czegoś uczy.

JERZY JACHYM

Z wykształcenia ekonomista, entuzjasta fotografii, zapalony fotograf mobilny. Do edycji swoich prac, z pasją, używa wyłącznie smartfona i tabletu. Słucha muzyki elektronicznej i pije dużo kawy.

KOLEKTYW POZA SPOŁECZEŃSTWEM, CZYLI JAK PRZEŻYĆ W JAPONII I NIE ZWARIOWAĆ

MAGORZATA DUDEK

Słynny film Siona Sono *Suicide Club* z 2001 roku otwiera jedna z najsławniejszych scen w historii japońskiego kina. Oto na jednej z tokijskich stacji, Shinjuku, widzimy grupę nastolatek, które rozmawiają i żartują w oczekiwaniu na pociąg. Następnie 54 niemal jednakowo ubrane dziewczęta, trzymając za ręce, ustawiają się w jednej linii wzdłuż toru, po to, aby rzucić się pod pędzącą maszynę w akcie zbiorowego samobójstwa. Bryzgająca obficie krew wytrąca resztę pasażerów ze strefy komfortu, którą zapewnia istniejący w Japonii wysoki stopień sformalizowania relacji społecznych oraz niepisany kodeks postępowania w sferze publicznej.

Obywatele podświadomie wiedzą, że dane zachowania wywołają określone skutki. Powoduje to poczucie istnienia bezpiecznego dystansu między człowiekiem a światem. Na co dzień zdają się zauważać tylko to, na co są z góry przygotowani, co zgadza się z ich obrazem rzeczywistości przekazanym przez osoby znajdujące się wyżej w społecznej hierarchii – dziadków, nauczycieli, rodziców. W domu i szkole uczy się dzieci jak postępować, aby nie narazić się na niezręczności, momenty konfliktu, czy kłótni. System hierarchiczny oraz kodeks zachowań w sferze publicznej zaś - uważane za całkiem naturalne - to przestrzeń ochrony przed gafami, niezręcznościami towarzyskimi, sytuacjami, w których nie wiadomo, jak zareagować, co powiedzieć, co zrobić ze swoim ciałem. Zakładając, że bazą dla takiej postawy życiowej są charakterystyczne dla Japończyków: kolektywizm, skrupulatność i dyscyplina, wzorce podtrzymywane przez media oraz edukację w szkołach, można lepiej zrozu-

mieć ukazanie destrukcyjnego aktu w wyżej opisywanej scenie-manifeście. Nie bez powodu bohaterkami sceny otwierającej *Suicide Club* są nastolatki trzymające się za ręce niczym na szkolnym apelu. To one bowiem reprezentują pokolenie, które nie może sobie znaleźć miejsca w ramach sztywnych struktur społecznych.

JAPOŃSKI KODEKS ZACHOWAŃ W SFERZE PUBLICZNEJ TO PRZESTRZEŃ OCHRONY PRZED GAFAMI, UCHYBIENIAMI TOWARZYSKIMI, SYTUACJAMI, W KTÓRYCH NIE WIADOMO, JAK ZAREAGOWAĆ, CO POWIEDZIEĆ, CO ZROBIĆ ZE SWOIM CIAŁEM.

DYSCYPLINA, KOLEKTYWIZM, SKURUPULATNOŚĆ

W filmach Sono wyraźne jest przekonanie, że społeczeństwo japońskie utrzymuje się jedynie za pomocą opresyjnej sieci wzajemnych relacji. Sieci, która obecnie staje się coraz słabsza, ponieważ łączące ją nici powoli, lecz nieubłaganie, pękają ze starości. To, co kiedyś pomagało utrzymywać społeczny porządek i hierarchię, dziś jest anachroniczne i nie przystaje do współczesnych czasów, w których ludzkie ciało sprzężone jest z coraz bardziej skomplikowaną technologią. Sono w swoich filmach podejmuje walkę o możliwość indywidualnej ekspresji, ale czyni to w sposób prześmiewczy i mocno ironiczny, bawiąc się konwencjami zaczerpniętymi najczęściej z japońskiej kultury popularnej i mass mediów.

Taktykę artystyczną twórcy charakteryzuje bycie pomiędzy: powagą a wygłupem, artyzmem a kiczem, groteską a naturalizmem. Nieustannie balansując na krawędzi pokazywania treści tabu, Sono działa na marginesie społeczeństwa, w rejonach ukrytych i oficjalnie przemilczanych, co nie jest wyłącznie tematem jego filmów, ale wynika również z doświadczenia. Reżyser zaczynał na przełomie lat 80 i 90. jako członek-założyciel religijnej sekty oraz grupy terrorystycznej, by następnie stworzyć artystyczny kolektyw performerów Tokyo Gagaga. Potem rozpoczął karierę filmową w przemyśle gay porno.

Otwierająca *Suicide Club* scena jest manifestem skierowanym przeciwko dyscyplinie, kolektywności i skrupulatności. Działanie dziewczynek sprawia wrażenie, jakby było ze wszech miar poprawne: ruchy są zsynchronizowane, choreografia uporządkowana, uśmiech towarzyszy każdemu gestowi niczym w popularnej telewizyjnej rewii. Uczennice pozostają *kawaii* do momentu, gdy ich ciała zostają rozbite na miazgę. Do ostatniej chwili przybierają wdzięczne pozy, nie przestają być słodkie, dziewczęce, urocze i infantylnie niewinne. Zatem moment, gdy ta piękna iluzja zamienia się w scenę gore, to kompletna

destrukcja społecznego porządku.

Ostateczny akt desperacji jednostek niepotrafiących żyć w społecznym przekłamaniu można uznać jednak za dość bierny i bezmyślny, co sugeruje Sono poprzez sposób ukazania bohaterek. Sprawiają one wrażenie kierowanych z zewnątrz, a nie postępujących zgodnie z własna wola, co zresztą staje się siłą napędową całej intrygi filmu. Powodem jednak, dla którego ta pojedyncza scena wydaje się istotna w kontekście kolektywności jest połączenie braku indywidualnych motywów i aspiracji z mocnym efektem, jaki wywarło na widzach tej sceny to ekstremalne działanie, czyli wybuchem paniki. Wniosek: mimo ze w społeczeństwie takim jak japońskie nie da się żyć, trudno też wpłynąć na zmianę stanu rzeczy. Mimo że jedynym wyjściem staje się działanie jak najbardziej skrajne, to w dalszym ciągu będzie ono w jakiś sposób uwarunkowane schematami przyjętymi w szkole i domu.

Zatem nawet radykalizm w Japonii jest mocno podejrzany i kończy się groteskowo. Koszmarne wizje w filmach Sono to zawsze sny na jawie, a gestom obrazoburczym towarzyszy szyderczy śmiech. Jakby reżyser, którego życiorys bogaty był w ekstremalne działania w sferze publicznej, nie dowierzał w realność tego, co go otacza.

Świat wyobraźni reżysera jest swoistym gabinetem luster, odbijających i karykaturalnie wyolbrzymiających elementy życia, od których Japończycy odwracają wzrok w akcie konformistycznej ucieczki od tego, co wzbudza lęk i dyskomfort. Przykładowo opisywanej wyżej makabrycznej scenie towarzyszy wesoła muzyka. To zabieg przechwycony z japońskich mediów, które lukrują pokemonami problemy społeczne i polityczne. W filmie kontrastowe zestawienie wprowadza jednocześnie niepokój oraz atmosferę zabawy. Zupełnie jakby w kraju, gdzie nawet helikoptery wojskowe zdobi się słodkimi postaciami rodem z anime, a naukowcy projektują asystującego w samobójstwach i eutanazji robota o aparycji uroczego misia o nazwie SeppuKuma, nic nie mogło odbywać się naprawdę na serio, nawet największe tragedie. Siła sceny zbiorowego samobójstwa w filmie Sono osłabiona jest przez kolektywność, ponieważ akt ten sprawia wrażenie wyuczonej choreografii, a grupa- poddającego się autodestrukcji felernego mechanizmu, który trzeba zastąpić lepiej działającym. Dziewczynki do tego wyglądają jak laleczki, a krew – jak

teatralny efekt specjalny.

KOLEKTYWIZM I INDYWIDUALIZM PO JAPOŃSKU

Zazwyczaj sądzi się, że różnica między Japonią a krajami zachodnimi leży w stosunku jednostki do całości grupy, oddawanym za pomocą kolektywizmu i indywidualizmu. Jednak, jak w przypadku większości pojęć, również te dwa same w sobie nie znaczą nic, dopóki nie przyjrzeć się kontekstowi, w jakim się pojawiają. Można zadać pytanie, czy antropologowie i socjologowie mają rację, a jeśli tak, czy i jak ten sposób organizacji i działania mechanizmów społecznych jest obecny w japońskich produkcjach filmowych?

Obejrzawszy setki filmów z obu stron świata, nie jestem przekonana, czy ten głoszony przez nauki humanistyczne pewnik nie jest jedynie stereotypem, zbędną kategoryzacją, upraszczającą całą sprawę. Być może wszystko zależy od definicji kolektywizmu. W przypadku Japonii musi on być rozumiany w sposób specyficzny, różny od tego, co zwykle rozumieją przezeń Europejczycy. Nie ma tu nic z działania pospołu, czyli wspólnymi siłami, chodzi raczej o zupełną odwrotność takiej sytuacji.

Kolektywizm według samych Japończyków wiąże się z kilkoma terminami. Pierwszym z nim jest *wa,* harmonia wszystkich elementów świata, które muszą pozostać na swoim miejscu, aby nie doprowadzić do nieszczęścia. Stan *wa* jest raczej ambiwalentny, ani dobry, ani zły. Trzeba zachowywać się jak inni, aby utrzymać z nimi dobre stosunki. Zatem chodzi tu raczej o osobisty interes.

Kolejnym ważnym słowem jest *amae,* wprowadzone przez Takeo Doi, które można przetłumaczyć jako zależność, ale szczególnego rodzaju. Pochodzi od czasownika *amaeru,* który można przetłumaczyć jako sprawienie, żeby ktoś, kogo uznaje się za wyższego w hierarchii, silniejszego, dominującego, zaopiekował się nami. To chęć przypodobania się, uzyskania aprobaty, nawet za cenę ciągłego udawania, odgrywania narzuconej z zewnątrz roli. *Amae* oznacza więc podążanie za innymi, naśladowanie ich, pozostawanie w ciągłej zależności. Nie jest negatywne, łączy na przykład matkę z dzieckiem, to taki stan ciągłego zdziecinnienia, upodobania słodkości (jap. *amai* – „słodki"), bezpieczeństwa, braku ryzyka.

Trzecim ważnym pojęciem jest *enryo,* czyli powściągliwość, rezerwa – nieupieranie się przy swoim zdaniu, stawianie wyżej opinii innych, ugodowość, pozostawanie na dystans w sytuacjach kontaktu z innymi. Japończycy w dyskusjach raczej nie forsują swojego zdania, nie walczą do upadłego, aby kogoś przegadać. To nie w ich stylu.

Kolektywizm po japońsku zatem to wzajemna kontrola afektów, rozpoczynająca się już w najwcześniejszej fazie życia. Nie prowadzi do stworzenia wspólnoty, czyli kolektywu w rozumieniu zachodnim, gdzie pracuje się wspólnie dla dobra grupy, w której uporządkowanie hierarchiczne członków nie ma znaczenia. Kolektywność europejska polega na nieustannej reakcji na działania innych, reakcji na zmiany w świecie według określonych z góry reguł. Nasuwa się następująca metafora atomów: podczas, gdy na Zachodzie zachowania jednostek prowadzą nieuchronnie do wzrostu chaosu, nieprzewidywalności, ciągłego rozsypywania się elementów, a przez to – ciągłego wzrostu entropii, tak u Japończyków dąży się do powrotu do stanu pierwotnego, do stanu *wa* – niczym woda w jeziorze, do którego wpadł płonący samochód osobowy. Mimo iż ta metafora jest mocno uproszczona, pozwala oddać różnicę między Japończykami a tym, co znamy z codziennego doświadczenia.

Podobnie jest z indywidualizmem, który często przez wielu badaczy jest Japończykom zabierany. Bliższe prawdy jest stwierdzenie, że każdy dba o własny interes, dlatego w społecznych sytuacjach podwyższonego ryzyka nikt się nie wychyla przed szereg. Nie oznacza to jednak braku chęci wyrażenia siebie czy odróżniania się. Chę-

ci są, ale – ujarzmiane na każdym kroku. Popularna metafora wystającego gwoździa, który musi być wbity tak, aby osiągnąć oczekiwany poziom, pokazuje, jaki rodzaj dyscypliny jest stosowany w japońskich szkołach. Również przez samych uczniów. Dobrą ilustracją tej zasady jest zjawisko *ijime*, czyli znęcania się jednych uczniów nad innymi, mniej normatywnymi kolegami, niezwykle często występujące w japońskich instytucjach edukacyjnych i stematyzowane w wielu mangach, anime i filmach fabularnych. Mimo że analogiczne przypadki spotyka się na całym świecie, skala, na jaką występuje ono w Japonii, powoduje, że można je potraktować jako zjawisko dla tego kraju charakterystyczne.

Popularna metafora wystającego gwoździa, który musi być wbity tak, aby osiągnąć oczekiwany poziom, pokazuje, jaki rodzaj dyscypliny jest stosowany w japońskich szkołach. Również przez samych uczniów. Wniosek: ponieważ porządek społeczny oparty o *wa, amae* i *enryo* prowadzi do tak znacznych wynaturzeń, można zauważyć, iż przestaje on odpowiadać zapotrzebowaniom współcześnie żyjących w Japonii ludzi.

KOLEKTYW POZA HARMONIĄ

Harmonia w takim społeczeństwie nie prowadzi zatem do wzajemnej pomocy czy bezinteresownego altruizmu, lecz wręcz przeciwnie – stanowi pewną strukturę, do której trzeba się dopasować, pilnując swojego miejsca. Poprzez pozostawanie na wyznaczonej pozycji, a tym samym – trzymanie w szachu pozostałych graczy. Japończycy nie pozwalają sobie i innym na okazywanie prawdziwych emocji oraz blokują spontaniczne zachowania.

W tym miejscu warto powrócić do działań performatywnych Sono w ramach kolektywu Tokyo Gagaga. Były bowiem jak zastrzyk adrenaliny w ledwo bijące serce japońskiego mieszczaństwa. Jednym z postulatów grupy

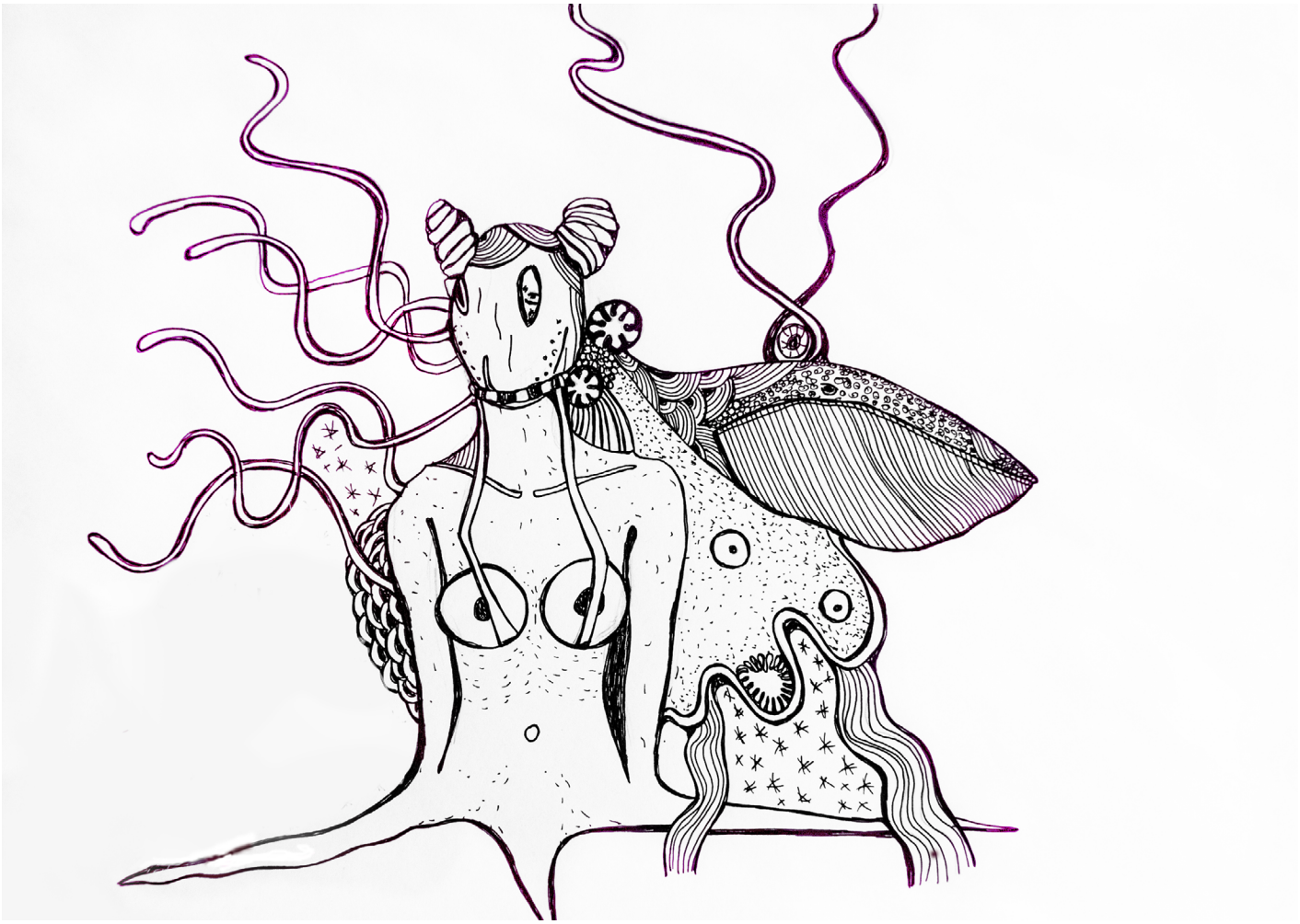

było wypełnienie braków w komunikacji, a zatem wykrzyczenie tego, co przemilczane. Przestrzeń publiczna miała się stać miejscem, gdzie ludzie mogą wyrazić siebie. Nieważne, jak perwersyjne czy nienormatywne treści są do przekazania. W działaniach Sono dało się też dostrzec myśl, że artystyczne ujęcie tego, co na co dzień ukrywane, jest lepsze niż bycie *hikikomori,* tworzenie grup samobójczych, mordowanie czy gwałcenie w ciemnych zaułkach, co potem świetnie wyraził w filmach takich jak *Strange Circus* (2005) czy *Love Exposure* (2008).

Prosta logika każe myśleć, że tylko to, co poza harmonią, hybrydyczne i nieograniczone normą, może stworzyć wspólnotę opartą o wzajemną pomoc i akceptację, czyli coś przeciwnego kolektywizmowi w rozumieniu przedstawionym powyżej. Dlatego też na koniec, jako dość ironiczną propozycję tego, co trzeba zrobić, aby nie zwariować w tak zorganizowanym społeczeństwie, chciałabym przywołać przykład z niższej półki niż dokonania Sono. Mowa o krótkometrażowym filmie *Yoshie Zero* Noboru Iguchiego, prequelu *Mutant Girls Squad* (2010). Główna bohaterka przemienia się w mutanta, połączenie człowieka z ośmiornicą. W momencie, gdy zauważa zmiany, skarży się koleżance, ta zaś mówi jej, że to sprawa okresu dojrzewania, w którym transformacja ciała jest rzeczą naturalną. Yoshie czuje więc akceptację grupy i przestaje wstydzić się swej odmienności. Jednak kiedy odsłania swoje macki i pysk ośmiornicy, staje się przedmiotem społecznego ostracyzmu. Wyrzucona poza grupę, postanawia zostać obrończynią nienormatywności i z bezbronnej dziewczynki przemienia się w wojowniczkę. Dopiero pozycja outsidera pozwala jej działać swobodnie. Wyzwala ją też z krępujących więzi bycia w grupie.

Wniosek? Obaj twórcy, mimo wyolbrzymienia problemów społecznych, radykalnego i groteskowego ich ujęcia, wskazują na to, że dyscyplina, skrupulatność, ujednolicenie, ugodowość, unikanie konfliktów i konformizm nie prowadzą do niczego dobrego. Wyparte treści po jakimś czasie wypełzną z ciemnego zakamarka w tak potwornej postaci, że ani odwracanie wzroku, ani przemilczanie ich nie będzie już dłużej możliwe, a cała misternie utkana sieć zależności pęknie jak pajęczyna zaatakowana przez duże zwierzę

MAŁGORZATA DUDEK
Studentka Performatyki i Porównawczych Studiów Cywilizacji na UJ. Zajmuje się pisaniem, grafiką, fotografią i filmem. Od kilku lat prowadzi cykl projekcji filmowych Extremazja w Krakowie.

RAZEM W CHAOS

JOANNA KULIK | MAGDALENA ŚLÓSARCZYK

Jak to jest z tą solidarnością, skoro jednocześnie jesteśmy w stanie skrzyknąć się i oprotestować cenzurę w internecie, a zaraz potem utopić sąsiada w łyżce wody?

Pojęcia współpracy czy wspólnoty przywodzą na myśl same pozytywne konotacje tego, jak radośnie jest maszerować wspólnie ku rozwojowi i świetlanej przyszłości. Unia Europejska, stowarzyszenia, organizacje pozarządowe, a nawet portale społecznościowe – wszystkie propagują totalną kooperację w zglobalizowanym świecie indywidualistów. Co ciekawe, idea ta trafia także do Polaków, którzy z tej solidarności przez małe „s" raczej nie słyną. Bo przecież jednoczyć się umiemy i zawsze umieliśmy – w walce o złotą sarmacką wolność, a później niepodległość, w walce z nazistowskim okupantem i radzieckim „przyjacielem" – ale nie poważamy konstruktywnej, harmonijnej współpracy. Solidarność – tak, ale dopiero przeciwko czemuś. Wojenki pomiędzy grupami przestępczymi, klubami piłkarskimi, miastami, osiedlami – to brzydka twarz naszej polskiej solidarności.

INTEGRACJA REGIONALNA ZA PIASTA

Zaczęło się tak pięknie, bo od zjednoczenia. Gdzieś w X wieku, kiedy tereny obecnej Polski zamieszkiwały po sąsiedzku różne plemiona słowiańskie, jedno z nich – Polanie, stwierdziło, że chce więcej. Rządzący wówczas ród Piastów zdołał zjednoczyć wokół swojego państewka innych Słowian Zachodnich i w przeciągu 100 lat zbudował mocne państwo z władzą centralną. Polska dołączyła wówczas do szeregu średniowiecznych monarchii europejskich, a odpieranie zakus Cesarstwa Niemieckiego i czeskich Przemyślidów tylko umocniło nasze poczucie odrębności, własności i solidarności.

Dobrze było aż do 1. połowy XII wieku, kiedy to miało miejsce znaczące rozbicie państwa na kilka dzielnic – ofiarowanych przez Bolesława Krzywoustego we władanie synom. Rozbicie dzielnicowe trwało aż do 1333 roku. Znowu byliśmy jednością, a do tego bogatszą o tę wiedzę, że rozmienianie się „na drobne" nic dobrego nam jako narodowi przynieść nie może. Później było lepiej – bo unia z Litwą, bo Jagiellonowie, bo sekularyzacja krzy-

żackich Prus. Jednakże pod fasadą wspólnoty, pięknej szlacheckiej kultury i pieśni o zwycięskich bitwach skóra tej ziemi cierpiała od mikropęknięć. Na zabory zapracowaliśmy sobie sami i to nie samymi tylko wojnami na 3 fronty w XVII wieku czy prywatnymi interesami magnaterii. Pracowaliśmy na nie ciężko od momentu, gdy po raz pierwszy centralny włodarz „sprzedał się" szlachcie w zamian za poparcie prywatnych interesów (przywilej koszycki z 1374 roku). I tak to się kręci (do dzisiaj, tak!), że prywatne interesy nad publicznymi stoją. Ale za wolność, Boga, Polskę to my się potrafimy śpiewająco poświęcić – ileż powstań, jakie piękne Państwo Podziemne. Zasada tej gry jest taka: biją nas „oni" – walczymy ramię w ramię, nikt nas nie bije – bijemy się między sobą, choć niekoniecznie głośno się o tym mówi.

ZRANIONA DUMA NIEWOLNIKA

Zatrzymajmy się przy szkolnych lekturach. Kanon polskiej literatury to oczywiście starannie dobrany zestaw dzieł, który ma za zadanie kształtować nasze spojrzenie na własną historię, kulturę, wartości. Kształtować pod konkretną tezę. Literaturę możemy podzielić na przed- i porozbiorową, które różnią się tym, że jedna jest dobra, a druga be, skażona traumą narodu niegdyś podbitego. Postkolonializm się kłania. Od epoki romantyzmu w literaturze borykamy się z całym tym mesjanizmem, narodem, wolnością, Bogiem, ojczyzną. Wcześniej myśleliśmy jak paniska, później musieliśmy jak niewolnicy. Co tragiczne, ale i znaczące – pierwsze myślenie doprowadziło nas do tej drugiej sytuacji. Wszystkiemu winny upiór sarmatyzmu. Nazywam go upiorem, ale przecież wiadomo, że twórcy nasi filmowi i literaccy upajają się nim od ponad 200 lat. Że kraj był taki wielki (od morza do morza!), że kultura taka bogata (ociekający złotem barok, piękne kobiety, wino i śpiew), że Polacy byli dumni z bycia Polakami (jeśli wywodzili się z wyższych warstw społecznych), no i oczywiście złota szlachecka wolność (politykę załatwialiśmy zrywając sejmy i organizując rokosze, a nie jakąś tam „pedalską" trucizną w kieliszku czy sztyletem pod żebra).

ANTYBOHATER KU POKRZEPIENIU SERC

Ten piękny obrazek polskiego sarmatyzmu umocniła *Trylogia* Henryka Sienkiewicza. Barwne powieści historyczne lały miód na rany narodu zniewolonego najpierw przez zaborców, a później przez Związek Radziecki. Nie bez znaczenia jest ikona *Trylogii*, obiekt miłości kobiet i podziwu mężczyzn, będący w istocie antybohaterem – Andrzej Kmicic. Rzezimieszek, który po burzliwej przeszłości został wzorem polskiego rycerza. A to, że w szale spalił całą wieś, że był gwałtowny, brutalny i arogancki, jedynie dodało mu uroku, prawda? Ważne, że się nawrócił na patriotyzm i walczył dla narodu, nic innego się nie liczy. Ubóstwiamy też romantycznych bohaterów Mickiewicza – czy raczej jesteśmy wychowywani do tego. Nieco daremny trud w czasach, gdy część młodzieży ma w nosie bohaterów narodowych, a część groteskowo spaczyła pojęcie „patriotyzmu". Kompleks dobra publicznego zawsze

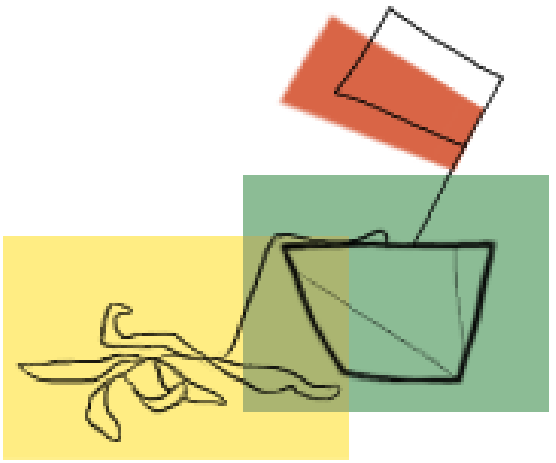

jednak będzie toczył nasze polskie, interesowne serca, które na co dzień raczej zapominają o zwykłej, ludzkiej solidarności, przejawiającej się nie tylko w spektakularnych czynach. Myślimy sobie: „A po co ja mam się z sąsiadami składać na nowy parking pod blokiem? Jaka to solidarność? Solidarny będę, kiedy trzeba będzie oprotestować jakieś ustawy, obniżki płac, cenzurę w internecie. A teraz niech się Nowak z Konarskim składają na ten parking, a ja nie dorzucę ani grosza". A jak zrobią – to i tak będę korzystał.

SOLIDARNOŚĆ Z CHOROBĄ DWUBIEGUNOWĄ

Ale przyznam się, że nie tracę optymizmu – bo czy ja nie widzę, jak ludzie zrzeszają się w fundacjach, organizacjach charytatywnych, międzynarodowych programach wymiany? Jak wolontariaty pękają w szwach czy nawet, ot, takie fora? Poza hejtem i trollami znalazłam tam dużo pomocnych informacji i porad. Sama jestem zresztą przykładem na to, ile radości dają wspólne ini-

cjatywy, bo w wielu uczestniczyłam, niejeden wolontariat „zaliczyłam", a nie odmówiłam też sobie Erasmusa i Work&Travel. Niestety, pozytywne idee nigdy nie będą miały takiej siły rażenia, co negatywne. Media nie interesują się dobrymi wiadomościami, bo tacy solidarni więcej robią niż krzyczą, a ludzie łakną sensacji. Ale na pewno robi się cieplej na sercu, kiedy widzimy, że ludzie chcą działać wspólnie i razem maszerować ku tej wspomnianej na początku świetlanej przyszłości. Jednak taka idea przyświeca również „patriotycznym" marszom, kiedy boję się, że niektórzy mogą zostać uznani za niegodnych bycia Polakami. Dlaczego inicjatywy zbudowane na agresji oraz nietolerancji mają stałe i solidarne grono fanatyków, a tak mało ludzie dają z siebie, kiedy trzeba walczyć o swoje własne prawa?

PRZYPADEK ACTA

W zasadzie znamienny był styczeń 2012 roku, kiedy naród wylęgł na skute lodem ulice (na Podlasiu było wtedy prawie -30 stopni!), aby zaprotestować przeciwko traktatowi ACTA. Niejasne kulisy negocjacji postanowień umowy oraz kontrowersyjne punkty dotyczące ochrony własności intelektualnej sprowokowały ludzi do protestu nie tylko na ulicach, lecz przede wszystkim w internecie, gdzie serwisy zaciemniały swoje witryny, a hakerzy z grupy Anonymous dokonali ataku na kilkadziesiąt rządowych witryn. Piękny przykład solidarności w obronie… seriali i pornografii online. Ale oczywiście to duże uproszczenie, ponieważ ludzie nagle obudzili się i uświadomili sobie, że rządy robią z nimi, co chcą. Powiedzieli „NIE" głośno i wyraźnie. Protestowali wszyscy „millenialsi", niezależnie od opcji politycznych czy światopoglądu. Można? Można! Dlaczego do tej pory nie powtórzyła się taka sytuacja? Ludziom jest zbyt wygodnie? Kapitalizm usypia czujność? A może ci „normalni" boją się po prostu wyjść przed szereg? Jak wiadomo, bunt mas działa na zasadzie efektu domina – ty się wychylisz, to ja też, ale ty pierwszy. Pomiędzy tym wszystkim na czele idą własne interesy polityczne, ekonomiczne – uniwersalna bolączka każdego ustroju, pomimo pięknych haseł o równości i solidarności.

Możemy pogardzać bandziorami, kibolami, narodowcami itd., ale to właśnie oni współcześnie najchętniej się zrzeszają. Grupa daje im poczucie akceptacji, wsparcia, czasami alternatywną rodzinę i przede wszystkim siłę. Miasto należy do nich. Agresja – zrodzona przez często podrzędną pozycję w społeczeństwie, przez nudę i poczucie beznadziei, a nawet tłumaczona buzującymi hormonami – musi być skierowana przeciwko komuś. Kiedy nie ma wroga, stworzymy go sobie. Zdławmy racjonalne argumenty, że to ludzie tacy jak my. Nie popierają „patriotyzmu" (pamiętaj, to ty tworzysz definicję), ubierają się inaczej lub, co gorsza, kochają „inaczej"? Krzycz, że to „pedalstwo" i wal na oślep. Krzycz, że walczysz o dobro ogółu, o porządek w swoim kraju, a w rzeczywistości zanurz go w chaosie. Bo taka to solidarność po polsku – zazwyczaj wolimy się pokłócić i utopić w tej łyżce wody, niż współdziałać. Solidarność, w której jest miejsce dla wielkich słów, a nie starcza go już dla tych mniejszych.

JOANNA KULIK
Trochę polonistka, bardziej dziennikarka. Bardzo z Białegostoku, ale trochę też z Poznania. Pisze na długie i krótkie dystanse i uważa, że jeden dobry mem wyraża więcej niż tysiąc słów.

MAGDALENA ŚLÓSARCZYK
Oprócz pracy i obserwowania ludzi, rysuje i zmyśla. Marzy o podróży na Północ, własnej huśtawce i stworzeniu animowanego teledysku.

JAK RATOWAĆ ŚWIAT SMARTFONEM?

DAGMARA MARCINEK | MAGDALENA KOŹLICKA

Smartfona ma każdy z nas. Mobilne urządzenie służy nam do komunikacji ze światem: umawiania się na spotkania za pomocą smsów, na randki przy użyciu Tindera, informowania znajomych na Facebooku o tym, co właśnie zrobiliśmy, a na Instagramie o tym, co zjedliśmy. Obok mnóstwa aplikacji społecznościowych powoli rozwijają się aplikacje społeczne, które mogą sprawić, że rzeczywistość wokół nas stanie się trochę lepsza, trochę bardziej przyjazna. Wystarczy odrobina zaangażowania i wspólnego działania, by udowodnić, że we wzniośle brzmiącym zdaniu „razem możemy więcej" kryje się bardzo dużo prawdy.

O tym, że gry komputerowe mogą zmieniać świat, przekonywała ich projektantka, Jane McGonigal, podczas konferencji TED w 2010 roku. Zaskoczyła wtedy wszystkich stwierdzeniem, że aby rozwiązać największe globalne problemy: od głodu, przez zmiany klimatu, po konflikty społeczne, należy... więcej grać. Najlepiej 21 miliardów godzin tygodniowo. Wszyscy razem. Dlaczego? Upór i determinacja, z jakimi gracze dążą do odniesienia „epickiego zwycięstwa", rzadko pojawiają się w naszym realnym życiu. W wirtualnej przestrzeni nie poddajemy się tak szybko, podnosimy się po porażkach i próbujemy „przejść level" jeszcze raz, chętnie też ze sobą współpracujemy. Gdyby więc ilość czasu poświęconego na pokonywanie kolejnych poziomów oraz zaangażowanie w rozgrywkę przeznaczyć na zwalczanie otaczających nas bolączek, efekty byłyby zdumiewające. Jak jednak przekonać młodych ludzi, by zamiast *World of Warcraft* wybrali ratowanie świata? Odpowiedź jest prosta. Wystarczy ratowanie świata uczynić tak atrakcyjnym jak granie, czyli stworzyć gry, za pomocą których będzie można świat ratować. I tym są właśnie tak zwane *serious games*.

GRANIE NA POWAŻNIE

Terminem *serious games*, spopularyzowanym przez Clarka Abta w latach 70. XX wieku, określano gry plan-

szowe i karciane, służące głównie nie rozrywce, a edukacji. Naturalnie, wraz z rozwojem technologii „poważne gry" stały się wirtualne, a ich możliwości coraz większe. Czym są dziś? To symulacje świata rzeczywistego, uczące nas, jak radzić sobie z zagrożeniami, a także platformy wykorzystujące zbiorową inteligencję do rozwiązywania globalnych problemów.

Jednym z takich problemów są na pewno choroby zakaźne i genetyczne. Do walki z nimi Univeristy of Washington stworzyło *Fold.it*, grę internetową przypominająca puzzle, polegającą na układaniu struktur cząsteczek białek. Rozwiązywanie (bio)logicznych łamigłówek, indywidualnie bądź w zespole, nagradzane jest punktami oraz awansem w rankingu. „Najlepsze" modele białek przesyłane są natychmiast do laboratoriów, gdzie analizowane są przez naukowców. W ten sposób szuka się pomocy w walce z rakiem czy wirusem HIV. Dlaczego wykorzystywana jest tu pomoc zwykłych graczy? Komputery muszą sprawdzić każdą z olbrzymiej ilości kombinacji struktury białek, co wymaga wiele czasu i energii, a wirusy ciągle mutują. Człowiek natomiast – dzięki inteligencji, ale przede wszystkim intuicji – pracuje szybciej niż urządzenia, szczególnie jeśli nie działa sam. W grze zarejestrowało się ponad 240 tysięcy graczy, a jednym z sukcesów jest określenie struktury wirusa M-PMV, odpowiedzialnego za wywołanie u małp podobnych syndromów co AIDS. Naukowcy pracowali nad tym 10 lat, graczom zajęło to… 3 tygodnie.

Na podobnym mechanizmie oparta jest gra *Phylo*, w której użytkownicy, przesuwając kolorowe pola, porównują kody DNA różnych zwierząt. Wyniki monitorowane są przez University of California, pomagając w prowadzonych tam badaniach dotyczących leczenia chorób genetycznych.

Zupełnie innym przykładem jest projekt Banku Światowego, gra *Evoke*, której pierwsza edycja rozgrywa się w wirtualnej współczesnej Afryce. 20 tysięcy graczy musiało w ciągu 10 tygodni wypełnić 10 misji, polegających na zwalczaniu problemów ludności Trzeciego Świata. Ich działania nagradzane były punktami, a najlepsi użytkownicy wzięli udział w szczycie Banku Światowego w 2010 roku. Internetowa społeczność udowodniła, że razem potrafi kreatywnie działać w różnych dziedzinach życia. Gier tego typu jest wiele, m.in. *Superstruct*, symulacja świata borykającego się z pięcioma globalnymi problemami. Rozwiązania proponowane przez graczy, powstające często w wyniku burzy mózgów, trafiają do ekspertów.

Oczywiście nie we wszystkie *serious games* gra się kolektywnie, wiele działa tylko w trybie *single player*. *Re-mission*, strzelanka przeznaczona dla osób chorych na nowotwór, czy *Global Conflict: Palestine*, poszukująca odpowiedzi na pytania o przyczynę konfliktu izraelsko-palestyńskiego, to tylko niektóre z nich. Wszystkie mają jeden cel – poprawę warunków naszego życia.

WYSTARCZY KLIK

Serious games wymagają jednak dużo czasu i zaangażowania – nie każdemu uda się odkryć wartościową strukturę białka czy wymyślić rozwiązanie problemu ubóstwa, które nie śniło się ekspertom. Jeśli nie chcemy poświęcać wielu godzin na gry, w kilka sekund możemy za pomocą naszych smartfonów zmieniać otaczającą nas rzeczywistość. Wszystko dzięki aplikacjom społecznym, łączącym w sobie *serious games* i media społecznościowe. Te programy pozwalają brać czynny udział w rozwoju naszych miast, dbać o porządek, pomagać sobie wzajemnie, często działają w oparciu o mechanizmy znane z gier, a aktywność użytkowników nagradzana jest punktami.

W Stanach Zjednoczonych dzięki takim aplikacjom sąsiedzi upiększają swoje ulice, mieszkańcy wpływają na budżet obywatelski, fundacje zbierają pieniądze, a diabetycy alarmują, gdy potrzebują pomocy. W Rosji użytkownicy informują odpowiednie służby o złym stanie dróg, a na Ukrainie czy w Indiach za pomocą mobilnych urządzeń walczy się z korupcją. W Polsce aplikacji społecznych ciągle jest mało, choć pojawiają się różne inicjatywy mające to zmienić: w 2014 roku w Gdańsku zorganizowano Central Open Data Hackathon, spotkanie

twórców aplikacji wspierających usługi publiczne i sprawy obywatelskie, w tym samym czasie ruszył projekt Koduj dla Polski, poszukujący technologicznych rozwiązań społecznych.

Jeśli lubisz uprawiać sport, z pewnością zainteresuje cię Honorowy Dawca Energii Fortum. Aplikacja za pomocą sygnału GPS rejestruje przebyte kilometry i zamienia je na energię, która z kolei zamieniona będzie na darowiznę dla wybranego przez ciebie miasta. Podobną akcję przeprowadziła rok temu jedna z telefonii komórkowych przy współpracy z Endomondo. Biegając czy jeżdżąc na rowerze nie tylko dbasz o swoją kondycję, ale także wspierasz charytatywnie wybrane instytucje pożytku publicznego.

Aplikacje społeczne wykorzystywane są do alarmowania odpowiednich służb o wszystkich wykroczeniach i zakłóceniach porządku. *Cichy bohater* mający działać na krajową skalę to na razie tylko projekt, ale poznańskie *Interwencje* czy warszawskie *19115* sprawiają, że nie musisz czekać, aż ktoś odbierze słuchawkę pod numerem „112", albo zastanawiać się, komu zgłosić nielegalne wysypisko śmieci czy źle zaparkowany samochód. Paroma ruchami palców wskażesz lokalizację i dodasz zdjęcie, a służby miejskie będą mogły szybko zareagować.

W podobny sposób działa aplikacja *HejtSTOP* – jej zadaniem jest oczyszczenie otaczającej nas przestrzeni z nielegalnych, obraźliwych napisów na murach. Wystarczy zdjęcie i lokalizacja, a koordynatorzy działającego na terenie całej Polski projektu, dołożą wszelkich starań, by wulgarne hasła zniknęły ze ścian naszych budynków.

Natomiast *Miasta bez barier* to aplikacja pomagająca osobom niepełnosprawnym „wyjść na miasto". Na interaktywnej mapie użytkownicy programu zaznaczają wszelkie ułatwienie architektoniczne: podjazdy, windy, miejsca parkingowe. Dzięki niej osoby niepełnosprawne mogą zaplanować swoją podróż bez przeszkód.

Mobilna aplikacja to standard dla wielu firm i instytucji, coraz częściej więc sięgają po nie również fundacje i organizacje trzeciego sektora. W tym roku po raz pierwszy uruchomiona została Wielka Orkiestra Świątecznej Pomocy przeznaczona dla użytkowników smartfonów, dzięki której można było wpłacić pieniądze bądź znaleźć najbliższego wolontariusza. Swoją aplikację miała Wampiriada, za pomocą której ludzie przekonują swoich znajomych do oddania krwi. Pajacyk.pl doczekał się aż trzech programów w sklepiku Google, żaden jednak nie jest oficjalnie stworzony przez PAH. Aplikacje przypominające o codziennym klikaniu w brzuch drewnianego pajacyka zaprojektowane zostały non-profit przez niezależnych programistów, co najlepiej pokazuje możliwości społeczności internetowych.

WIESZ? PODZIEL SIĘ

Aplikacje społeczne to również bazy wiedzy tworzone przez użytkowników. Wikipedia, portal, którego treści pochodzą głównie od internautów, dał swoją nazwę zjawisku określanemu mianem „wikinomii". To działanie wykorzystujące mechanizmy masowej, spontanicznej współpracy przez ludzi z całego świata. Na takich zasadach funkcjonuje *Polska niezwykła*, przewodnik po naszym kraju, gdzie cały kontent, wszystkie atrakcje turystyczne i miejsca godne uwagi polecane są przez oczarowanych nimi użytkowników.

Nie zawsze jednak aplikacje społeczne wykorzystywane są do urzeczywistniania wzniosłych idei. Są takie programy, które – owszem – pomagają innym, ale to, czy ta pomoc jest konieczna, jest sprawą co najmniej dyskusyjną. Mechanizm działania *Mam kanara* jest prosty: gdy zobaczysz w autobusie lub tramwaju kanara, czym prędzej dajesz o tym znać aplikacji, a ona wysyła powiadomienie wszystkim użytkownikom w danym mieście. Ostrzeżeni pasażerowie grzecznie kasują wtedy bilety, a gdy alertów nie ma, spokojnie mogą jeździć „na gapę".

Absolutnym fenomenem stała się aplikacja i portal stworzony przez krakowską firmę Brainly. Ich Zadane.pl to platforma, na której uczniowie nawzajem rozwiązują sobie zadania domowe. Punkty zarobione za rozwiązanie matematycznego równania użytkownik może wykorzystać na zadanie pytania z biologii czy historii. Nowe zadania pojawiają się w kilkusekundowych odstępach czasu. Wzajemna pomoc uczniowska z jednej strony cieszy, z drugiej niepokoi, bo zniechęca młodych ludzi do zdobywania podstawowego wykształcenia.

Aplikacje społeczne i *serious games* to bez wątpienia dobry kierunek na wykorzystanie czasu i energii, które i tak poświęcamy na zabawę nowinkami technologicznymi: komputerami, tabletami czy smartfonami. Ładnie przygotowane, oparte o proste mechanizmy, wykorzystujące grywalizację, pozwolą każdemu na choćby delikatne zmienianie otaczającego nas świata.

DAGMARA MARCINEK
Absolwentka dziennikarstwa i filmoznawstwa na UJ. Kocha kicz i popkulturę, dlatego Madonna zawsze będzie jej numerem jeden. O nowych mediach pisze na misswaldorf.pl, a o wszystkim pozostałym na twitterze @_miss_waldorf_.

MAGDALENA KOŹLICKA
Absolwentka projektowania graficznego na katowickiej ASP, ilustruje, animuje, robi internety. Miłośniczka sportów deskowych, podróży i dietetycznej coli.

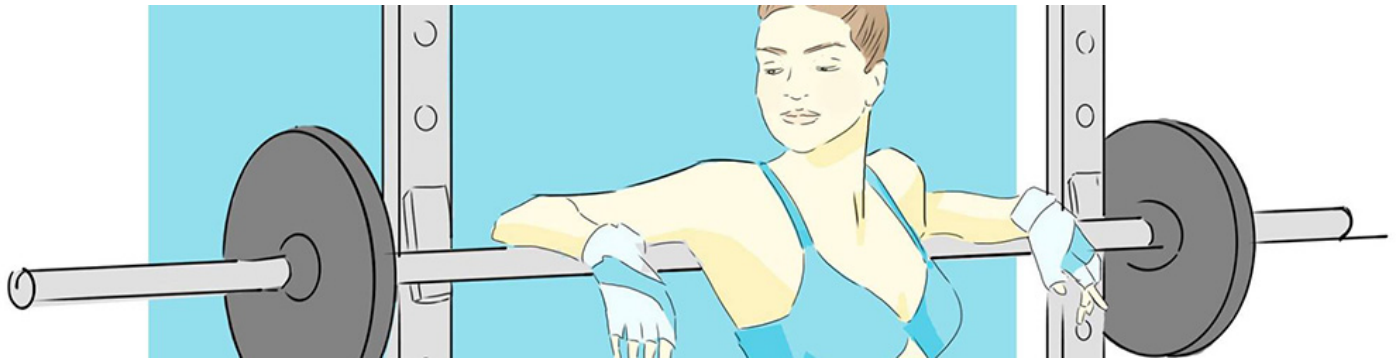

KLUB FITNESS JAKO INSTYTUCJA KULTURY

JULIA CYDEJKO | AGATA TRYBUS

Jednym z probierzy życiowego sukcesu jest gotowość podejmowania wyzwań, zmagania się z samym sobą i nieustannego samodoskonalenia – czyli cnoty sportowców. Prowadzi to niemal nieuchronnie do treningu fizycznego. Kultura fitness, moda na zdrowy styl życia i sport zataczają szerokie kręgi nie tylko wśród ludzi wykształconych, mieszkańców wielkich miast czy zamożnych pracowników korporacji. Jest to zjawisko, którego najistotniejszą cechą jest inkluzywność, dostępność i powszechność.

Żaden sport nie miałby racji bytu, gdyby nie był praktykowany lub przynajmniej celebrowany w grupie. Nawet gdy ćwiczymy samotnie, zakładamy widoczne rezultaty ćwiczeń, które zobaczą inni. Ten typ współdoświadczania w ciekawy sposób formułuje Maurice Blanchot. W swoim *The Unavoable Community* pisze on: „doświadczenie nie mogłoby zaistnieć dla odseparowanej jednostki, bo jego specyfika polega właśnie na przełamaniu pojedynczości pojedynczego człowieka i wyeksponowaniu go na kogoś drugiego; a zatem doświadczenie z gruntu istnieje dla innego".

Każdy wysiłek fizyczny jest doświadczeniem głęboko społecznym. Wciąż śmiejemy się ze stereotypowego podziału i gry słów „kulturoznawca" – „kulturysta", a tymczasem wyrastające jak grzyby po deszczu siłownie tworzą to, co w tym kontekście wielu boi się nazwać po imieniu: wspólnotę. Kluczem do zrozumienia kulturotwórczego wymiaru siłowni jest uczestnictwo ucieleśnione – współbycie w ciele. Członkami takiej wspólnoty jesteśmy tylko wtedy, kiedy w niej cieleśnie przebywamy. Mechanizm ten w szczególny sposób wiąże się z typem przestrzeni.

Przestrzeń siłowni można by nazwać „trzecim miejscem". Pojęcie to stworzył Ray Oldenburg, amerykański socjolog, który w swoich badaniach poszukiwał miejsca społecznej integracji, balansowania stresu codziennego życia, nawiązywania i pielęgnowania przyjaźni. „Trzecie miejsce" funkcjonuje pomiędzy tym, co publiczne, a tym, co prywatne, w odróżnieniu od „pierwszego" i „drugiego miejsca", którymi według Oldenburga są odpowiednio dom i praca. Dom nie może spełniać funkcji socjalizującej, bo jest przestrzenią zbyt prywatną i zamkniętą, praca natomiast jest miejscem powierzchownych interakcji, obciążonych przymusem oficjalności i norm. Dopiero w trzecim miejscu czujemy się komfortowo i swobodnie; jesteśmy otwarci na ludzi przebywających w pobliżu i łatwiej nawiązujemy z nimi kontakt. Takie miejsca to na przykład kawiarnia, restauracja, park, bar, bulwar czy biblioteka. Ale także siłownia – przestrzeń wspólna i inkluzywna, której użytkownicy są otwarci na nawiązywanie rozmów albo mają wrażenie, że się znają, nawet jeśli nigdy nie zamienili ze sobą słowa.

Przestrzeń siłowni pomyślana jest tak, aby była wystarczająco dospołeczna dla ludzi poszukujących interakcji, ale jednocześnie na tyle odspołeczna, by nie powodować dyskomfortu u tych, którzy wolą ćwiczyć samotnie. Niektóre elementy przestrzeni wyraźnie sprzyjają nawiązywaniu kontaktów – na przykład kanapy i pufy, na których można odpocząć w przerwie od ćwiczeń, urządzenia ustawione tak, by dwie osoby mogły swobodnie rozmawiać i patrzeć na siebie podczas treningu czy alejki, w których łatwo się minąć i przywitać albo wymienić parę słów. Oprócz tego można zaobserwować czynniki utrudniające interakcję: wiele urządzeń ustawionych jest równolegle albo w taki sposób, że ćwiczący twarzą zwraca się do ściany. Nad urządzeniami wiszą telewizory z kanałami informacyjnymi, sportowymi lub o tematyce fitness. Od dualizmu tego wolne są szatnie – z zasady miejsca zakulisowe, wygodniejsze, gdzie atakuje nas mniej spojrzeń i możemy pozwolić sobie na większą naturalność. Porównanie przestrzeni do ćwiczeń z szatniami pokazuje, jak silnie grają napięcia między kobietami a mężczyznami. Jedni i drudzy muszą dostosowywać swoje zachowania do specyficznego mikroklimatu norm kulturowych w tej półintymnej sytuacji treningu.

Wyraźnie widać, jak rozplanowanie przestrzeni wpływa na kształtowanie się stosunków między ćwiczącymi. Zbalansowanie elementów do- i odspołecznych, tworzenie miejsc sprzyjających komunikacji i zapewnianie swobodnej atmosfery leży w dobrze pojętym interesie każdego klubu, ponieważ biznes ten kręci się tym lepiej, im bardziej komfortowo czują się klienci. Dotyczy to szcze-

„ŻADEN SPORT NIE MIAŁBY RACJI BYTU, GDYBY NIE BYŁ PRAKTYKOWANY LUB PRZYNAJMNIEJ CELEBROWANY W GRUPIE. NAWET GDY ĆWICZYMY SAMOTNIE, ZAKŁADAMY WIDOCZNE REZULTATY ĆWICZEŃ, KTÓRE ZOBACZĄ INNI.

gólnie placówek nowszych, bo chociaż ćwiczący w piwnicach także tworzą swoją wspólnotę, często ma ona inny charakter – bardziej ścisły, oparty na rywalizacji, mniej płynny i inkluzywny.

Nowsze siłownie kierują swoją ofertę do szerszego odbiorcy: młodzieży i osób starszych, kobiet i mężczyzn, ludzi zamożniejszych i mniej, o różnych potrzebach treningowych. Tym, co zapewnia ćwiczącym największy komfort, jest swego rodzaju anonimowość – przyzwolenie na bycie kimś innym niż jest się poza siłownią. Najjaskrawiej widać to w zwyczaju mówienia sobie na „ty" – zarówno między ćwiczącymi, jak i w kontaktach z personelem. Zasada obowiązuje także w przypadku, gdy nie wiemy o danej osobie kompletnie nic – nie znamy nawet jej imienia. Wielu klubowiczów

porzuca ją jednak w momencie opuszczenia siłowni – podczas treningu przybijają spoconą piątkę, ale na ulicy zachowują dystans. Miejsce ćwiczeń fizycznych tworzy enklawę, gdzie mimo małej zażyłości i niepogłębionej relacji dozwolone są bardziej bezpośrednie interakcje.

W trakcie treningu intensywnie manifestuje się cielesność nieujarzmiona, fizjologiczna, na co dzień ukryta. Zjawisko to jest na siłowni tyleż pożądane, co wypierane. Wprawdzie obraz spoconego, zmęczonego człowieka wciąż kojarzy się z wytrwałością i zwycięstwem, jednak w nowszych siłowniach do głosu dochodzi wiele czynników, które dopiero zebrane razem decydują o sposobie postrzegania ciała trenującego. Dzikie okrzyki w trakcie trudnego ćwiczenia czy widoczne, duże plamy potu na ubraniu budzą szacunek i podziw innych. Zarazem jednak panuje tendencja do utrzymywania czystości i higieny. Na urządzeniach umieszcza się prośby „Połóż na mnie ręcznik", co ma zminimalizować ryzyko pomieszania się potu różnych osób. W sali pracuje sprzątaczka, która systematycznie dezynfekuje wszystko, co narażone na kontakt z ciałem. Jest to wyraz dążności do maksymalnego odseparowania obcych sobie ciał oraz stworzenia iluzji sterylności narzędzi, do których one – ciała – zbliżają się, symbolicznie „odsłonięte", a zatem również bardziej „narażone" na niepożądany kontakt. Mimo że klubowicze czerpią motywację z obecności innych osób, nie chcą się dotykać. Choć wspólnota trenujących funkcjonuje jako współbycie w ciele, bardzo uważa na utrzymanie optymalnego fizycznego dystansu. Nasuwa się tutaj skojarzenie z takimi praktykami jak na przykład modlitwa – czynność ucieleśniona (szczególnie u muzułmanów, którzy angażują do modlitwy całe ciało), która jest tym bardziej skuteczna, im więcej ludzi modli się razem. Kontakt fizyczny we wspólnocie modlitewnej zwykle jest ograniczony do minimum.

Innym elementem, który potęguje funkcjonujące na siłowni napięcia i jak gdyby ujmuje je w ramy, jest lustro. Pomaga ono przyjąć odpowiednią pozycję do każdego ćwiczenia – na przykład sprawdzić, czy kolano jest ustawione pod właściwym kątem. Jest przy tym także narzędziem kontaktu z innymi. W lustrze widzimy obraz wszystkich ćwiczących i całej sali. Popularność luster w siłowniach nie wynika wcale z funkcjonalności, ale z potrzeby umacniania poczucia wspólnoty. Niezależnie od tego, czy w lustrze patrzymy na innych z sympatią, zainteresowaniem czy zazdrością, niezależnie, czy „obecność" innych w lustrze jest dla nas przyjemna czy stresująca, to ono nas wśród nich sytuuje i zapewnia nam miejsce w tymczasowej wspólnocie ćwiczących. Dzięki niemu nawet jeśli jesteśmy naprawdę skoncentrowani na treningu, mamy poczucie, że nie jesteśmy sami – jesteśmy częścią większego obrazka i możemy na niego zerknąć. Lustra są w siłowni niemniej konieczne niż szatnie: potrzebna jest równowaga pomiędzy uszanowaniem prywatności, intymności i wstydu a udostępnieniem przestrzeni do współbycia, do współdzielenia jednego treningu, który może dla każdego wyglądać inaczej, ale dzięki wspólnej przestrzeni jednoczy wszystkich.

Wachlarz motywacji klubowiczów jest zaskakująco szeroki. Okazuje się, że ludzie przychodzą na siłownię przede wszystkim po to, żeby przyjemnie spędzić tam czas, a chęć wypracowania lub utrzymania kondycji fizycznej jest tylko pretekstem. Siłownie pełne są młodych matek, które szukają odskoczni od domowych obowiązków; emerytów i emerytek, którzy chcą pogawędzić z trenerami i znajomymi; biznesmenów, którzy nawiązują korporacyjne kontakty przydatne w interesach; przyjezdnych studentów, którzy szukają znajomości w nowym mieście; sfrustrowanych pracowników, którzy przychodzą rozładować napięcie; starszych osób, których interesują nowinki o zdrowiu i diecie puszczane w telewizorach; koleżanek, kolegów i po prostu nieznajomych ludzi. Siłownia

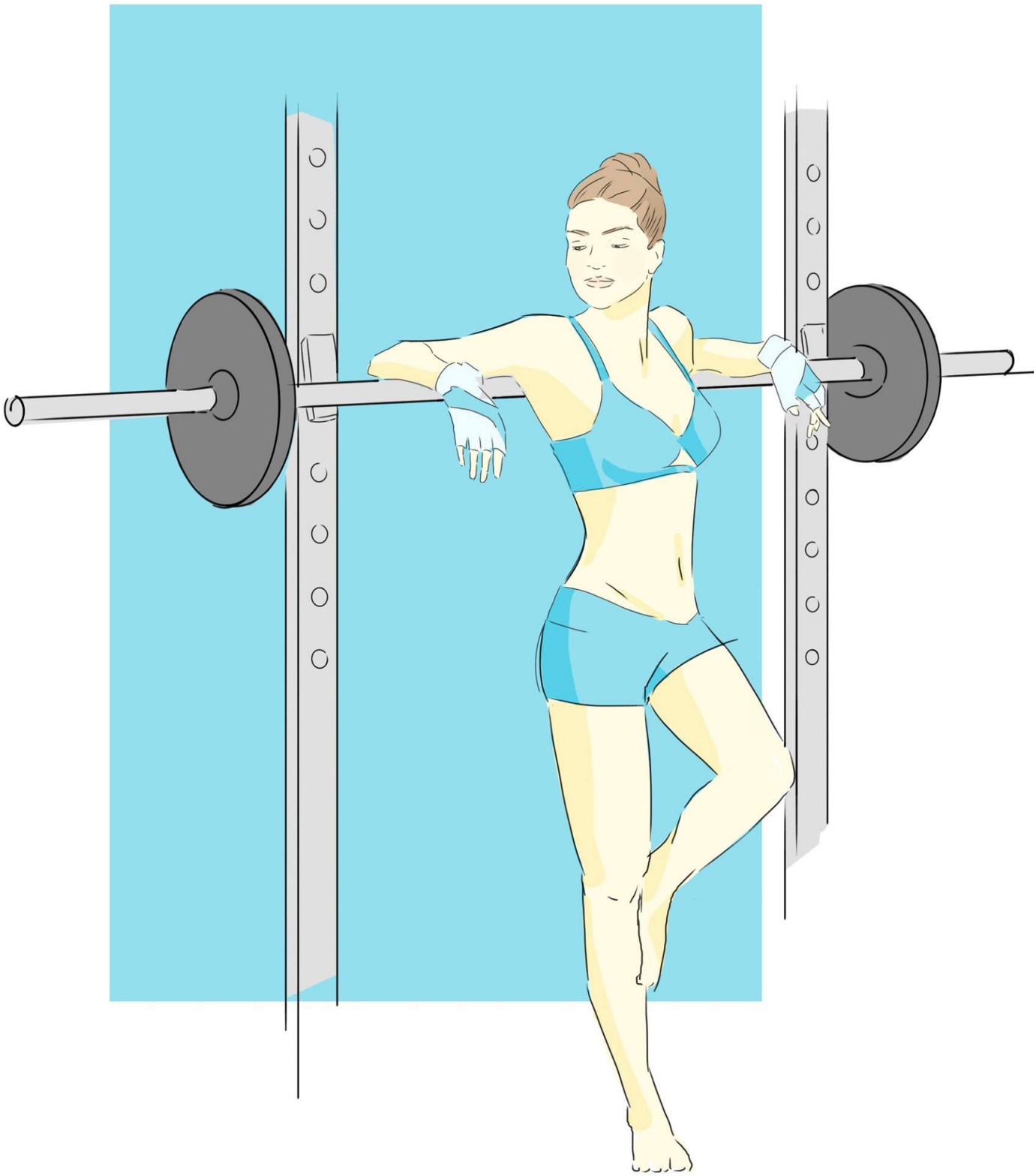

sprzyja rozmowom – nie trzeba być cicho, a nawet można pozwolić sobie na luźniejszą rozmowę. Jest to miejsce, gdzie zawsze można przyjść i się „pokolegować", ale nie trzeba nawiązywać przyjaźni. Siłownia stanowi przedłużenie relacji sąsiedzkich – jest prawie zawsze miejscem lokalnym, osiedlowym, bliskim, więc pomaga zintegrować wspólnotę sąsiedzką, która – zwłaszcza teraz, w epoce strzeżonych osiedli i odspołecznego „nowego budownictwa" – zna się słabo. Niektórzy klubowicze poszukują tu partnerów seksualnych, inni chcą wyżalić się trenerowi z życiowych problemów. Skład tej wspólnoty nieustannie się zmienia; napływają nowe osoby, a odchodzą inne. Dopóki jednak wszyscy czują, że atmosfera jest swobodna i odpowiada ich oczekiwaniom, będą przyczyniać się do jej kształtowania, tworząc luźną grupę prawie-że-znajomych, którzy mogą bez skrępowania przybić piątkę albo pogawędzić.

Ludzie potrzebują takich miejsc żeby rozładować stres, skorzystać z możliwości wejścia w niezobowiązującą relację z innymi czy po prostu ruszyć się z domu. To są właśnie cechy Oldenburgowskiego trzeciego miejsca. Dobrze jest stwarzać przestrzenie, gdzie ludzie mogą zająć się czymś, co ich interesuje i integruje. W tym celu dotuje się domy kultury, wzbogaca zasoby bibliotek i animuje kulturę – i słusznie. Warto jednak zwracać uwagę także na inne miejsca, które są użyteczne i przyjazne małym społecznościom, odpowiadają na ich potrzeby i odciągają od telewizorów. Wydawałoby się, że siłownia to instytucja prywatna i komercyjna, jako miejsce związane z działalnością prospołeczną mało obiecująca. Sport ma jednak moc łączenia ludzi i łagodzenia obyczajów, a jego magiczne oddziaływanie nie ogranicza się do gorączki igrzysk olimpijskich. Wprost przeciwnie: dzieje się każdego dnia.

„POPULARNOŚĆ LUSTER W SIŁOWNIACH NIE WYNIKA WCALE Z FUNKCJONALNOŚCI, ALE Z POTRZEBY UMACNIANIA POCZUCIA WSPÓLNOTY.

JULIA CYDEJKO
Niedoszła kulturoznawczyni i raczkująca tłumaczka na naukowym rozdrożu. Usiłuje zadomowić się we własnym kraju. Frustracja rośnie razem ze stosem przeczytanych książek. Robi, co może, żeby nie palić papierosów.

AGATA TRYBUS
Magister form przemysłowych, studentka architektury wnętrz. Projektantka, z zamiłowania instruktorka fitness i zumby.

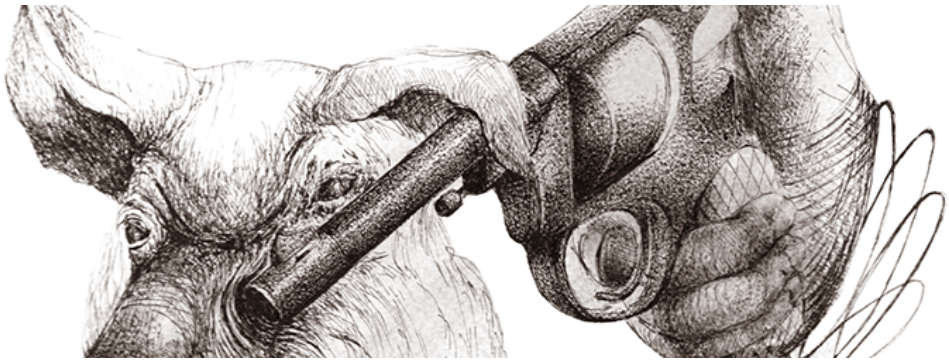

WSPÓŁDZIAŁANIE, GŁUPCZE!

JAKUB KUSY | MAŁGORZATA RYBKA

Widmo krąży nad Polską. Widmo neo-spółdzielczości.

Z czym kojarzy się spółdzielnia? Z niewidocznym zza kłębów dusząco-gryzącego dymu z popularesów, tudzież innych klubowych, szarym jak papier pakowy inżynierem? Z nieuprzejmą sklepową społemowskiego supersamu? Ciemną materią SKOK-ów? Pudło. Obraz współczesnych spółdzielni zmienił się nie do poznania. Znikły konotacje z przaśną wytwórczością, wszystko kręci się wokół zdrowego stylu życia, ekologii, a przede wszystkim rzadko obecnej w zabieganym i skupionym na sobie mieście potrzeby współuczestniczenia.

Dzisiejsze kooperatywy są pewną emanacją rozlicznych ruchów miejskich. Ich rozwój jest naturalną reakcją na bolesne przypadłości ponowoczesnego świata, w którym więzi między ludźmi są płytkie, mechaniczne i nietrwałe. Neo-spółdzielnie powstają spontanicznie, są czymś, co francuski socjolog Michel Maffesoli określa mianem neo-plemion – wspólnot opartych na współdzielonych pasjach czy zainteresowaniach. Relacje między członkami neo-plemienia nie muszą być głębokie. Liczą się przede wszystkim podobne doświadczanie świata, dobra zabawa i możliwość spędzania razem wolnego czasu.

O tym, czym są dzisiejsze spółdzielnie, jak działają i czy planują wywrócić kapitalizm do góry nogami, opowiada Paulinę Firak z Wawelskiej Kooperatywy Spożywczej:

Pomysł pojawił się dość spontanicznie. Jędrzej Cyganik (jeden z założycieli) przeczytał w tygodniku opinii artykuł o koopach spożywczych. Od razu zaczął działać. Pierwszym zamówieniem, które sam przywiózł do Krakowa, były czereśnie z pobliskiego gospodarstwa. Poszła wiadomość na FB, ludzie spontanicznie przychodzili, kupowali owoce i rozmawiali o założeniu własnej kooperatywy. Dla nich wszystkich ważna była lokalna, „sprawiedliwa" żywność, której jakość mogą sprawdzić, ale również wsparcie pracy lokalnych wytwórców i rolników.

Pomimo ponowoczesnego charakteru dzisiejszych koopów, neo-spółdzielcy nie odżegnują się od tradycyj-

> ***TECHNIKA ŻYCIA SPÓŁDZIELNI I DROBNE, DAWANE PRZEZ NIĄ KORZYŚCI, SĄ RZECZAMI WIELKIEGO ZNACZENIA.***
> **STANISŁAW THUGUTT**

nie rozumianej spółdzielczości, czerpią z dorobku guru polskich kooperatystów – Edwarda Abramowskiego, teoretyka i praktyka, ojca polskiego ruchu spółdzielczego przełomu XIX i XX wieku, w którym widział nie tylko narzędzie do zaspokajania doraźnych potrzeb, ale także fundament pod budowę nowoczesnego społeczeństwa obywatelskiego.

PF:

Wawelska, podobnie jak większość kooperatyw, odwołuje się do ruchu spółdzielców spod znaku Abramowskiego. Jednak obecna spółdzielczość musi odpowiadać na współczesne wyzwania. Tym kolejnym wyzwaniem jest globalny rynek dystrybucji i produkcji żywności, dla którego staramy się tworzyć ważną alternatywę. Lokalnie, wspólnie, świadomie – to 3 hasła, które dobrze opisują, jak działamy, i które odzwierciedlają idee spółdzielców. Poza tym ze spółdzielcami łączy nas tworzenie społeczności, dążącej do tego, by zaspokajać i zabezpieczać potrzeby swoich członków, by dochodzić do tego wspólną pracą. W kontekście żywności, od której wychodzą działania naszej kooperatywy, jesteśmy w stanie zaspokajać te potrzeby. Chodzi też o tworzenie społeczności, która jest sobie życzliwa, której funkcjonowanie oparte jest o to, co wspólne, o zaufanie i jeszcze raz – o wspólną pracę.

W funkcjonowaniu koopów wyraźnym echem odbija się także dawny, pepeesowski pozytywizm, kładący nacisk na sprawiedliwość, a co za tym idzie – troskę i odpowiedzialność za ofiary łupieżczego korpokapitalizmu, ingerującego w każdą sferę naszego życia.

Skoro system wcisnął nas w drelich „robotników umysłowych", skoro nie mamy wpływu na to, kto i gdzie szyje nasze ubrania, miejmy przynajmniej wpływ na to, skąd pochodzi nasze jedzenie oraz na to, ile i komu za nie płacimy. Zatroszczmy się przy tym o środowisko, sprawiając, że świat będzie trochę znośniejszy.

PF:

To oczywiste, że uwikłani w system kapitalistyczny, który staje się niewydolny, wręcz złowrogi, wyniszczający, szukamy innych dróg. Powstawanie kolejnych kooperatyw czy innych inicjatyw związanych z ekonomią społeczną jest właśnie poszukiwaniem takiej drogi. Tu najbardziej widać to przełożenie – jest głód zmiany, a dla wielu osób wspólnym mianownikiem jest wyjście poza system kapitalistyczny, który je bezpośrednio uwiera na wielu poziomach (nawet jeśli wszyscy wprost tego nie werbalizują, określając swoją postawę jako antykapitalistyczną). Skoro upominamy się o sprawiedliwość czy odpowiedzialność, oznacza to, że ich nie ma lub zostały mocno zdewaluowane. I to da się odczuć na podstawowym poziomie każdego dnia.

Sposób produkcji masowej żywności z wszystkimi jego negatywnymi konsekwencjami obrazuje, jak chory może być system kapitalistyczny w takiej formie, pod jaką znamy go dziś. Żywność stała się polityczna, bo kupowanie stało się głosowaniem – wspieraniem systemu lub sprzeciwem wobec

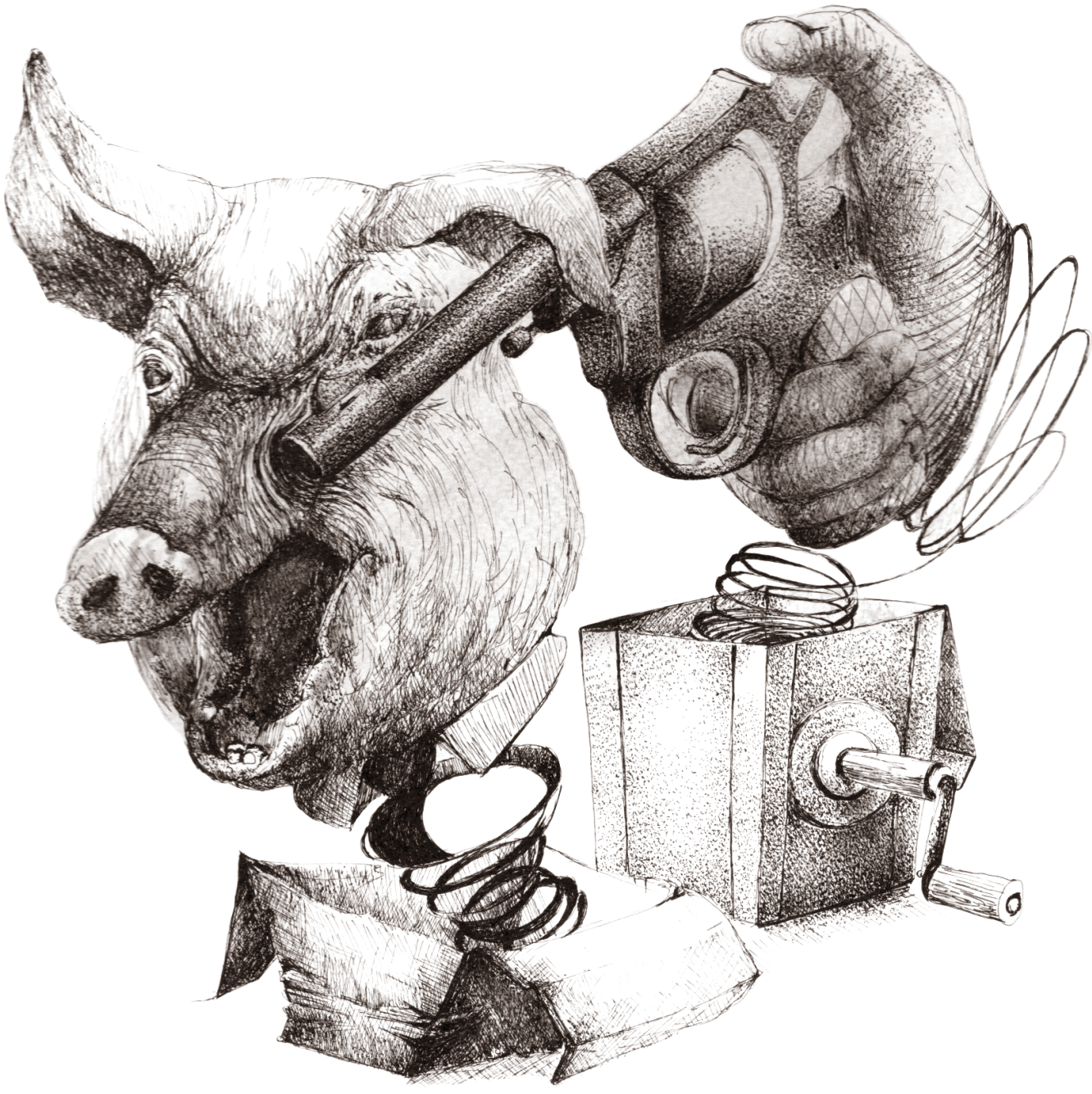

niego. I to codziennym głosowaniem, którego wagę jeszcze mało sobie uświadamiamy.

Pomimo upływu bez mała 170 lat marksistowski konflikt nie stracił na sile. Zmieniają się tylko jego oblicza. Dalej napędzany jest przez chciwość i nieodpowiedzialność. Kooperatywizm jest zatem niczym innym jak rewolwerem przyłożonym do skroni spasionego Kapitału.

PF:

Kooperatywa jest zmianą, rewolucją, działaniem, które lokalnie (a być może kiedyś globalnie) wpływa (i wpłynie) na kształt i jakość rynku żywności, więzi społecznych, lokalnego systemu ekonomicznego, mogącego opierać się bardziej o ekonomię współpracy. To w pewnym sensie upominanie się o elementarną sprawiedliwość i odpowiedzialność: za ludzi, za naturę, za warunki, jakie tworzymy sobie do życia i pracy, za relacje w społecznościach.

Oferta nowych spółdzielni, choć pozytywnie naładowana ideologicznie, nie jest infantylna, nie razi naiwnością młodzieńczej gorączki wywołanej heglowskim ukąszeniem. Ich twórcy zaskakują pragmatyzmem, dobrą organizacją i świetnym piarem, jak również *par excellence* klasową świadomością.

Co prawda nowokooperatyści nie wzniecą globalnej czerwonej pożogi, jednak dzięki nim zmiana na poziomie lokalnym może być odczuwalna już dziś.

> ***NIE MA TRWAŁEGO KOMPROMISU MIĘDZY KOOPERATYZMEM A KAPITALIZMEM, JEST TYLKO WALKA O BYT.***
> **STANISŁAW THUGUTT**

JAKUB KUSY
Formalnie socjolog, z zamiłowania antropolog miasta, w wolnych chwilach dziennikarz.

MAŁGORZATA RYBKA
Absolwentka m.in. ASP we Wrocławiu. Ilustratorka cierpiąca na brak skupienia na jednej rzeczy, fanka Terrego Pratchetta, kawy i ciastek z kremem.

SLACKTYWIZM, CZYLI INTERNETOWA „PARTYZANTKA”

MARTA STAŃCZYK | MICHAŁ ADAMIEC

Portale społecznościowe służyć mogą lajkowaniu, wrzucaniu zdjęć, umieszczaniu postów, komentowaniu na forach wszelkiej maści i generowaniu memów. Ale także mogą być wykorzystywane do lajkowania, wrzucania zdjęć, umieszczania postów, komentowania i generowania memów – w słusznej sprawie. Zaangażowanie 2.0 stało się nowym trendem, napędzając produkcję lajków i hasztagów, nagłaśniających duże kampanie społeczne, ale niekoniecznie przekładających się na działanie. Slacktywiści, łączcie się!

Choć internet jest medium demokratycznym, nie jest tożsamy z mechanizmami demokracji oddolnej. Dzieje się tak, ponieważ nawet wykorzystanie popularnych mediów społecznościowych, zwłaszcza Twittera, Facebooka czy Tumblra, do e-aktywizmu nie musi wiązać się z rzeczywistym wpływem na organy decyzyjne czy działaniem poza trybem online i pojedynczym kliknięciem. Stąd ukuto termin slacktywizm (od angielskiego słowa *slacker* i *activism*), określający bierny udział w (czasami mocno teoretycznie) wspieranych przez siebie kampaniach, programach, wydarzeniach, protestach itd.

Zwolennicy określonego ruchu mogą szybciej niż „w realu” komunikować się, rozprzestrzeniać lokalne wiadomości globalnie, zbierać fundusze, lobbować, podpisywać petycje, organizować wydarzenia oraz inicjować zbiorowe działania czy tworzyć bazy wiedzy. Wykorzystują dialogiczną strukturę sieci, choć nagminnie poprzestają na lajkach, odsłonach, szerach, retłitach i reblogach, niczym na przedłużeniu oldskulowych już łańcuszków. Zaznaczone w ten sposób stanowisko nie przekłada się na poziom zaangażowania, obnażając gliniane nogi zbudowanej społeczności.

LOLKOT NA TRANSPARENCIE

Zdecentrowana architektura internetu utrudnia kontrolę, wspierając przez to ruchy oddolne. Całkowita wolność jest jednak iluzją, czego przykładem mogą być kontrowersje, jakie budzi WikiLeaks, witryna „otwierająca rządy", czyli ujawniająca istotne dokumenty państwowe przez tzw. *whistleblowers*ów. Sceptycyzm wobec internetowych swobód wzmaga się po każdej akcji zamknięcia strony www czy śledzenia aktywności w sieci. Najbardziej jaskrawych przykładów dostarczają państwa cenzurujące internet, przykładowo w Rosji zamknięto na Facebooku i VK (WKontakcie) Children-404, profil gromadzący nastoletnich członków społeczności LGBT. Walka państwa z „homoseksualną propagandą" wspierana jest przez wielu obywateli, co ujawniają ataki na autorkę witryny, Lenę Klimową – będące kolejną odsłoną wolności słowa w trybie online. Mroczna strona internetowych hejtów, w których zawierały się groźby śmierci, została przez działaczkę społeczną obnażona na VK, gdzie stworzyła album ze zdjęciami agresorów wraz z otrzymanymi od nich wiadomościami.

Ten przykład potwierdza teorię Ethana Zuckermana, internetowego aktywisty, który współtworzył m.in. GlobalVoices. Podstrona tego portalu, RuNet Echo, która opublikowała informacje o Klimowej, powstała na fali wydarzeń na Ukrainie i zajmuje się filtrowaniem doniesień zza wschodniej granicy Polski, nie tylko wiadomości z mediów oficjalnych, ale przede wszystkim opinii publikowanych w *social media*. Podobna sytuacja miała miejsce w czasie niedawnych trzęsień ziemi w Nepalu. Według Zuckermana bowiem stereotypowe lolkoty mogą wspierać internetowy aktywizm (*the cute cat theory of digital activism*). Publikowanie przez e-aktywistów na popularnych stronach wzmacnia internetowe akcje społeczne oraz uodparnia je przed chociażby państwowymi represjami. Ich własne portale byłyby łatwiejsze do „uciszenia", podczas gdy zamknięcie czy blokada Facebooka

> **TZW. HASHTAG ACTIVISM WYKORZYSTYWANY BYWA BARDZIEJ DO CELÓW AUTOKREACYJNYCH NIŻ PROSPOŁECZNYCH.**

wywołałyby natychmiastową reakcję – nagłaśniając równocześnie zwalczaną kampanię. Także lolkoty i porno, współczesna odsłona hasła „chleba i igrzysk", działają na korzyść „wojowników o sprawę".

#JESTEMAKTYWISTĄ

Petycje, strajki, manifestacje i marsze często zastąpione są innymi formami wspólnotowych protestów. Transparenty zastępują popularne hasztagi, używane zwłaszcza pod wpisami i linkami na Twitterze. Tzw. efekt echa w internecie zachodzi na nieporównanie większą skalę niż za sprawą bardziej tradycyjnych mediów, przyczynia się do zwiększania świadomości społecznej, rozpowszechniania informacji, zwracania uwagi publicznej, organizowania i koordynowań działań jakiegoś ruchu czy kampanii. Mimo to tzw. *hashtag activism* wykorzystywany bywa, po pierwsze, bardziej do celów autokreacyjnych niż prospołecznych; po drugie, nie przenosi się na faktyczne działanie; po trzecie, zamiast ułatwiać, utrudnia debatę społeczną, lokując internetowych aktywistów wewnątrz zamkniętych społeczności. Można odnieść wrażenie, iż

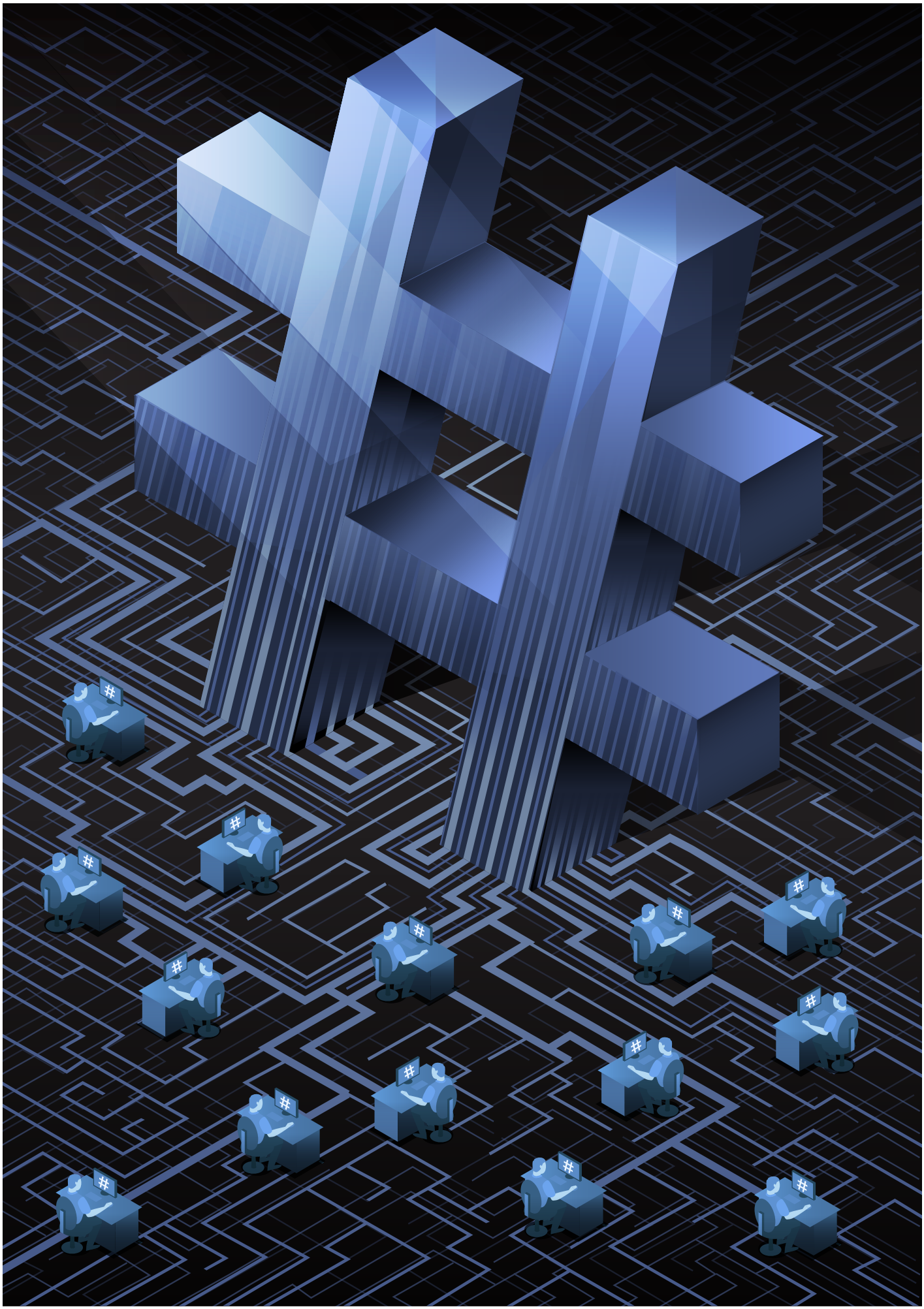

społecznikowski etos doczekał się renesansu, choć w formie zabiedzonej jak długość wiadomości na Twitterze.

Kontrowersje budzi przykładowo e-protest spod hasztagu #BringBackOurGirls, którego celem było z jednej strony zwrócenie uwagi na tragedię nigeryjskich uczennic porwanych przez Boko Harama rok temu, z drugiej – zmuszenie zachodnich państw do interwencji. Pracujący w Fox News George Will otwarcie skrytykował naiwność i próżność uczestników akcji: „Czy ci barbarzyńcy w nigeryjskiej dziczy powinni sprawdzić swoje konta na Twitterze i powiedzieć: »O-o, Michelle Obama gniewa się na nas, lepiej zacznijmy postępować inaczej«?". Został za tę wypowiedź oczywiście skrytykowany, podano przykłady większego zaangażowania się w sprawę dziewcząt z Chibok nigeryjskiego rządu, a także aktywniejszego wsparcia międzynarodowego. Pomijając kwestię oceny i rzeczywistego wpływu tej Twitterowej akcji, Will w swej lekceważącej wypowiedzi poruszył istotny wątek. Media społecznościowe nie są być może wystarczająco „stabilnym" miejscem, żeby zbudować w nich kampanię prezydencką, ale antyestablishmentowe ruchy oddolne wykorzystywane są nagminnie w celach PR-owych. Trudno nie zastanowić się nad być może szczerym gestem amerykańskiej pierwszej damy, który jednak nie powstaje w próżni, wpływa również na jej wizerunek, a internet zamienia w przestrzeń populistycznej polityki. Dzisiaj „ćwierkają" również gwiazdy muzyki czy filmu, próbując swoim nazwiskiem popularyzować jakiś słuszny cel, ale hasztagowym aktywizmem budując w tani sposób również swój wizerunek. Wystarczy przypomnieć sobie wiralową kampanię ALS Ice Bucket Challenge, która w schyłkowym etapie nie miała wiele wspólnego z jej punktem wyjścia.

#NotYourAsianSidekick, #1reasonwhy czy #YesAllWomen to przykłady hasztagów, dzięki którym feminizm zagościł na stałe w debacie społecznej i to w niezwykle egalitarnej formule, choć sama teza o upowszechnieniu feministycznego myślenia byłaby już nadużyciem. Ostatni z wymienionych hasztagów powstał po zabójstwach w Isla Vista, które miały seksistowskie podłoże, i oznacza przykłady mizoginii, której co dzień doświadczają kobiety. Częściowo powstał w odpowiedzi na hasztag #NotAllMen, oznaczający protesty wobec generalizacji męskiego szowinizmu. „Obrona bronionych", jak określa to stanowisko Matt Lubchansky w ironicznym komiksie, nie rozjątrza debaty między „lubiącymi" obie grupy, które rzadko wchodzą ze sobą w dialog, a raczej okopują się na określonych stanowiskach. Podobnie wygląda to w konflikcie grup „Who Needs Feminism?" i „Women Against Feminism", które przybierają formę robienia sobie selfie z plakatami. Wypisane na nich slogany typu „Nie potrzebuję feminizmu, ponieważ chcę założyć rodzinę" oraz tworzenie memów z tzw. Feminist Nazi mają szerszy obieg niż uzasadnianie feminizmu – chyba że jego twarzą zostaje Ryan Gosling.

Zachodni trend wywiera jednak o wiele większy wpływ w odmiennym kontekście społeczno-kulturowym czy politycznym. Dla przykładu w Indiach, gdzie sformułowanie „kultura gwałtu" przybrała niepokojąco dosłowny wymiar, w ubiegłym roku popularna była kampania #IAmMardaani. Powstała jako forma promocji filmu *Nieustraszona* (2014, Pradeep Sarkar), opowiadającego

o prywatnej wojnie policjantki z handlarzami żywym towarem. Akcja przyczyniła się do wzrostu pewności siebie indyjskich kobiet, które nie tylko były zachęcane do nauki samoobrony i walki o swoje prawa, ale stworzyły społeczność promującą alternatywne style życia w skrajnie patriarchalnym społeczeństwie. O potrzebie #IAmMardaani i istotności mediów społecznościowych w powolnej przemianie sposobu myślenia świadczyć może także chociażby kampania MARD (Men Against Rape and Discrimination) czy wiralowe rozpowszechnienie filmu *India's Daughter* (2014, Leslie Udwin), zakazanego w Indiach przez krytyczne ukazanie kultury prowadzącej do tak skrajnych sytuacji jak zbiorowy gwałt dokonany w 2012 na Jyoti Singh w autobusie, które to zdarzenie jest punktem wyjścia dokumentu BBC. Na wiralowym rozprzestrzenianiu filmu zresztą się nie skończyło – w marcu tego roku wszczęto w Indiach postępowanie przeciwko Ketanowi Dixit, który mimo zakazu, dwukrotnie zorganizował projekcję *Córki Indii*, za drugim razem w slumsie zamieszkiwanym wcześniej przez oprawców.

MODE: OFFLINE

Fakt, że poza zachodnim kontekstem, zwłaszcza w totalitarnych, silnie represyjnych ustrojach, takie strategie aktywistów są nie tylko potrzebne, ale wręcz niezwykle pomocne, potwierdzają tzw. Twitterowe rewolucje, czyli Arabska Wiosna czy Euromajdan. Grupa na Facebooku „We are all Khaled Said" upowszechniła informację o brutalnym mordzie dokonanym na Egipcjaninie przez policję, co doprowadziło w rezultacie nie tylko do postawienia przed sądem oprawców, ale również było jednym z katalizatorów rewolucji. I choć np. lajki i selfie zastąpiły interwencję państw zachodnich chociażby na Ukrainie, dla uczestników protestów *social media* często pełniły rolę środka komunikacji między zdezorganizowanymi grupami protestujących na terenie całego kraju. Nie tylko były płaszczyzną wolności słowa i przyciągały zainteresowanie globalnych mediów mainstreamowych (opisując Jedwabną Rewolucję, Zuckerman stwierdził, że bardziej niż losem Tunezji media na świecie interesowały

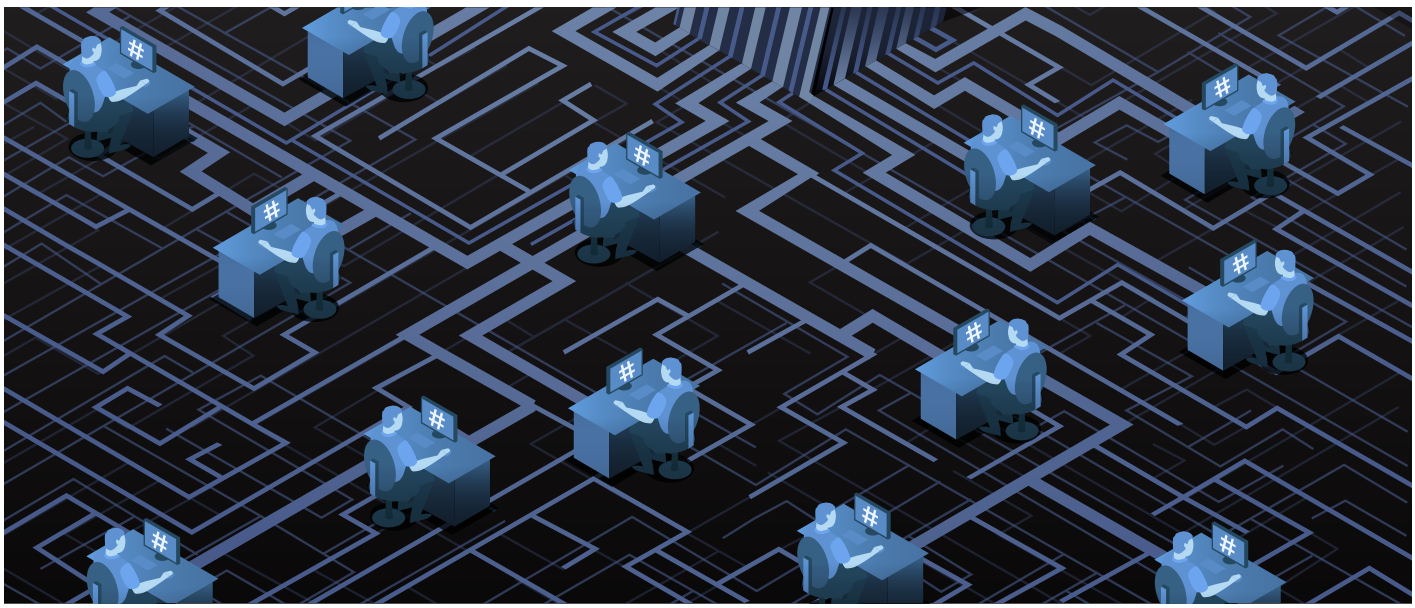

się wcześniej Bożym Narodzeniem), ale również w koordynowaniu działań i mobilizowaniu protestujących grup.

Pokazuje to, że internetowy aktywizm ma sens wtedy, kiedy w pewnym momencie robi się krok poza świat wirtualny i wraca się do kontaktu z ludźmi, na którym tradycyjnie bazowały ruchy społeczne. Taką działalnością są hackathony, spotkania w różnych miastach, często w kilku równocześnie, w czasie których w wyznaczonym czasie grupa programistów pracuje nad różnymi *software'ami* usprawniającymi życie w danej metropolii. Największe w ostatnim czasie hackathony były organizowane pod hasłami Developing Latin America czy Smart Cities Hackathon. Ten ostatni, zainicjowany przez Global Urban Datafest, zaowocował takimi udoskonaleniami, jak np. aplikacja BreatheBetter w Madrycie, wyznaczająca trasę czystszego powietrza dla określonej aktywności użytkownika, oraz ConverCity w Bostonie, system, dzięki któremu rośnie responsywność miasta. Poprawa jakości życia nie jest może tak efektowna i nagłaśniana jak Twitterowe rewolucje, ale przy odrobinie zaangażowania czasu i energii może wpłynąć na otoczenie i właśnie na nasz poziom życia. Korzystając z narzędzi o globalnym zasięgu, trzeba na nowo nauczyć się myśleć lokalnie.

***

Z aktywistami w internecie jest trochę jak z katolikami w Polsce – ani chrzest, ani hasztag nie determinuje ich działań mimo najpobożniejszych chęci. „Namaszczeni" użytkownicy *social media* powinni zrezygnować z podręczników wojownika światła i spojrzeć poza ekran komputera, tableta czy smartfona, zanim zaczną naprawiać świat.

„W TOTALITARNYCH, SILNIE REPRESYJNYCH USTROJACH STRATEGIE AKTYWISTÓW SĄ NIE TYLKO POTRZEBNE, ALE WRĘCZ NIEZWYKLE POMOCNE. POTWIERDZAJĄ TO TZW. TWITTEROWE REWOLUCJE, CZYLI ARABSKA WIOSNA CZY EUROMAJDAN.

MARTA STAŃCZYK
Studentka Uniwersytetu Jagiellońskiego, filmoznawca wannabe. Trochę ogląda, trochę czyta i trochę słucha, ponieważ marzy o zostaniu kulturalnym krakusem.

MICHAŁ ADAMIEC
Grafik projektant, z zamiłowania typograf i ilustrator.

WSPÓLNE DO BÓLU, CZYLI KURTKA I EKSPRES DO KAWY, KTÓRE WIEDZĄ O TOBIE WSZYSTKO

AGATA WIECZOROWSKA | WERONIKA „WERA" GRZYWA

Wstajesz rano. Z poduszką odgniecioną na twarzy. Z fryzurą na lwa afrykańskiego. Zapominasz z domu parasola, więc do pracy dojeżdżasz w strugach deszczu i makijażu. Takie poranki przydarzają się każdemu. Jest przynajmniej o czym napisać w statusie na Facebooku, myślisz. I wyciągasz telefon, który rozładował się po drodze.

Budzi cię budzik, który wydziela zapach smażonego bekonu. Oddziałuje na powonienie śpiącego tak, że wstanie z łóżka nie jest przykrym przymusem, ale przemożną potrzebą gastryczną. Z budzikiem skomunikowany jest ekspres do kawy, stojący na kuchennym blacie. Zanim więc dojdziesz do kuchni i uświadomisz sobie, że jeszcze nie do końca się obudziłeś, masz zaserwowaną filiżankę aromatycznej kawy. W międzyczasie twoja szafa opryskuje ci garderobę odświeżaczem i zbiera informacje ze stacji meteorologicznych. Ubrania pozycjonują się na wieszakach tak, aby te najbardziej adekwatne pod kątem warunków atmosferycznych na dany dzień wisiały w pierwszym rzędzie. Ubierasz się. W tym samym czasie leżący w korytarzu parasol zmienia kolor na niebieski, żeby zasygna-

lizować konieczność wzięcia go ze sobą. Kurtka przytula cię, ilekroć ktoś polubi twój post na Facebooku. Do pracy docierasz na czas. Suchy i rad z siebie.

Nie musisz zapowiadać, kiedy planujesz wrócić, bo Google Latitude Doorbell (dzwonek geograficzny Google) będzie na bieżąco informował pozostałych domowników, jak daleko od domu się znajdujesz. Na ścianach w pokojach będzie można mieć wirtualne diagramy samopoczucia mieszkańców. Jeśli więc wyczytasz na diagramie, że żona wróciła po pracy zła jak osa, już wiesz, że bez kija lepiej nie podchodzić. Oczywiście taki diagram będący wirtualną bazą danych może być wykorzystany także przez twojego pracodawcę czy ubezpieczyciela. Również kliniki psychiatryczne i firmy farmaceutyczne będą mogły w ten sposób tropić potencjalnych konsumentów antydepresantów.

Poziom zadowolenia mierzą także koce, które już wprowadziła firma British Airways. Póki co taki koc-miernik jest dostępny do opatulenia się na trasie Nowy Jork–Londyn. Dzięki wszytym światłowodom pled zmienia kolor. Niebieski oznacza spokój i odprężenie. Czerwony wskazuje na zdenerwowanie użytkownika.

Również inne środki transportu próbują dostosować się do preferencji pasażerów. Tzw. samochód kognitywny nie tylko ustawi ci fotel i lusterka, ale też odpali twój ulubiony kawałek na samochodowym radio. Kiedy impulsy przebiegające wzdłuż pasa bezpieczeństwa zdradzą, że jesteś wilczo głodny, wyświetli ci trasy dojazdu do twoich ulubionych restauracji. Samochód kognitywny zna twoje gusta

jak Facebook, ale potrafi w czynny sposób wykorzystywać te informacje, dopasowując chociażby soundtrack podróży.

Jeśli nie jesteś głodny ani nie interesuje cię przejażdżka po mieście przy akompaniamencie ulubionych utworów sączących się z samochodowych głośników, możesz podjechać do kliniki zdrowia. Wchodząc na jej teren twoje ciało zostaje przeskanowane zarówno pod kątem zawartości witamin, minerałów, jak również ubytków na zdrowiu, takich jak niedomagające organy czy tworzące się komórki nowotworowe. Zamiast szczepionek i długich, męczących terapii, masz się jedynie udać do leczniczej restauracji, gdzie zaserwują ci danie, które dostarczy twojemu organizmowi potrzebnych leków, szczepionek prewencyjnych i spersonalizowanych dawek witamin. Brzmi to trochę jak szkic scenariusza do amerykańskiej obyczajówki science fiction. Co ciekawe, wszystkie potencjalne zmiany, innowacje i usieciowienia przedstawione powyżej sprowadzają się do odebrania człowiekowi sfery prywatnej. Maszyny, żeby móc być skomunikowane z porami wstawania danej osoby czy jej preferencjami kulinarnymi i muzycznymi, opierają się na danych swojego użytkownika. Przestają być to informacje osobiste, ponieważ mogą być bez przeszkód wykorzystane przez osoby trzecie, koncerny czy instytucje, jak choćby w przypadku diagramu samopoczucia domowników, który wspomaga rynek leków antydepresyjnych.

Świat opierający się na tak działających technologiach to świat nowego porządku, nowej jakości życia i wygody, którą w obecnych czasach udaje nam się osiągnąć jedynie sporadycznie. Tak duża automatyzacja oraz usieciowienie urządzeń i przedmiotów codziennego użytku eliminują

ludzką omylność, wprowadzają ład, porządek i przejrzystość do naszych żyć. Stąd też nadchodzący okres określa się mianem Ery Przejrzystości, czyli czasu, kiedy wszystko stanie się jasne, uporządkowane i wiadome. Informacje przestaną być tajne czy poufne, kończąc Erę Prywatności. W trakcie jej apogeum ceniło się prywatność, intymność, a informacjami dzieliło się wedle własnych osądów.

Era Prywatności była poprzedzona czasami komunalnego życia. Wtedy rzeczy również były wspólne i trzeba się było dzielić dobrami. Ludzie, szczególnie biedniejsi mieszkańcy wiosek, mieszkali w jednej izbie, często dzieląc posłanie ze swoimi zwierzętami. Kąpali się we wspólnych łaźniach, pracowali na wspólnym polu.

Z nastaniem kapitalizmu czasy wspólnotowe ustąpiły miejsca Erze Prywatności, u schyłku której żyjemy. Teraz poniekąd wracamy do czasów wspólnotowych. Przy czym wspólne będą nie przestrzenie i miejsca, ale informacje i wiedza o poszczególnych członkach społeczności. Kiedy ktoś będzie w depresji, nie będzie już miał wyboru, z kim podzieli się swoimi egzystencjalnymi rozterkami. Jego problem będzie znany powszechnie.

Amerykański myśliciel, ekonomista i politolog, Jeremy Rifkin, przewiduje właśnie aż tak daleko idące zmiany. Wszystkie sprowadzają się w gruncie rzeczy do zatarcia stref prywatnych poszczególnych ludzi i zespolenia ich w jedno wspólne pole przejrzystości.

Rifkin przewiduje także, że z czasem zaniknie podział na producentów i konsumentów dóbr i zleją się oni w jedną grupę prosumencką. Snuje on fantastyczną wizję, w której człowiek żyje w informacyjnej komunie, trzyma na parapecie osobistą drukarkę 3D, która jest zasilana promieniami słonecznymi. Może sam projektować potrzebne narzędzia i wytwarzać je przy pomocy urządzenia. Własnymi narzędziami może wymieniać się do woli z innymi członkami społeczności. Brzmi bardziej hipstersko niż krakowska scena undergroundowa.

Wszystkie powyższe zmiany to duży krok naprzód w kierunku uporządkowania świata i jego technologizacji, ale też spory krok do tyłu w kwestii respektowania prywatności i intymności człowieka, do których zawsze miał i ma prawo. Pytanie: czy nadal będzie?

AGATA WIECZOROWSKA
Filolog języków obcych (angielski) i bardzo obcych (portugalski i rumuński). Pochodzi z Zielonych Płuc Polski. Na studia przeprowadziła się w krakowskie smogi. Tutaj pracuje, pisze i oddycha. Pracuje w korporacji, chociaż bez przekonania. W wolnym czasie czyta „Muminki" i prowadzi bloga Kałuża Pełna Mirabelek.

WERONIKA „WERA" GRZYWA
Absolwentka Uniwersytetu Śląskiego (filia w Cieszynie), na kierunkach Edukacja Artystyczna i Grafika. Zajmuje się komiksem i ilustracją. Poza tym jest potrzepaną melancholiczką, starającą się nie zwariować!

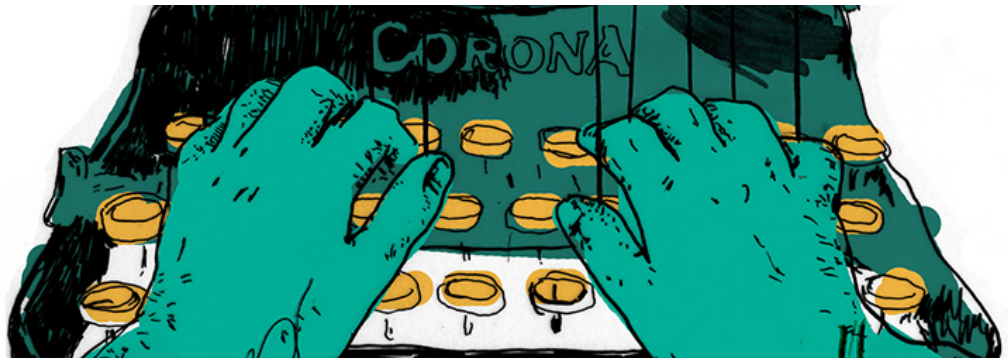

ARS COOPERATIO – SZTUKA WSPÓŁPRACY JAKO „LITERACKA KOOPERACJA”

ADRIAN TURZAŃSKI | KATARZYNA DOMŻALSKA

Dawna literatura skrzętnie dbała o to, żeby ówcześni twórcy nie tworzyli wspólnie opowieści, co zmienia się współcześnie. Współpraca literacka znajduje się na porządku dziennym i choć miażdżącą przewagę stanowią książki pojedynczych autorów, na księgarnianych półkach nie brak pozycji nobilitowanych paroma nazwiskami.

Kooperacji wśród literatów nie postrzegam tylko jako współpracy dwóch bądź paru pisarzy w tworzeniu wspólnej opowieści, choć i w tej najbardziej oczywistej kategorii można dostrzec różne tendencje. Interesującymi przykładami są dzieła „rodzinne”, tworzone przykładowo przez małżeństwo, czego przykładem może być Śleboda Małgorzaty Fugiel-Kuźmińskiej i Michała Kuźmińskiego. Mimo że nie jest to ani pierwszy, ani najbardziej odkrywczy przykład małżeńskiego *ars cooperatio*, dobrze pokazuje to, w jaki sposób twórcy dopełniają się doświadczeniem, wizją czy wiedzą na różnorodne tematy. Jest to niebywale istotna cecha, dzięki której książka nabiera cech atrakcyjnych zarówno dla męskiego, jak i żeńskiego odbioru, przez wzgląd na spojrzenie nań przez pryzmat obu partnerów czy łączącą ich więź.

Na tym nie wyczerpuje się jednak współpraca członków rodziny, znamy w końcu dzieła napisane przez braci – by wymienić baśni Wilhelma i Jacoba Grimmów oraz prozę postapokaliptyczną Arkadija i Borisa Strugackich; tworzących wspólnie dzieła, dopracowane przez co najmniej dwa umysły o niejednolitych światopoglądach. Ci rosyjscy pisarze science-fiction wyznaczyli trend panujący wśród twórców tego gatunku, wynikających ze zde-

rzenia różnych wizji i światów. *Dobry omen* Neila Gaimana i Terry'ego Prachetta to parodia filmowej serii *Omen*. Komiczna wariacja stworzona przez mistrza współczesnej baśni i fantastę-satyryka nasączona została religijną symboliką ubraną w pozornie bajkową otoczkę – łatwo wytropić wpływy jednego z pisarzy. Podobne zjawisko miało miejsce w *Przystani Wiatrów*, stworzonej wspólnie przez George'a R.R. Martina, znanego z cyklu *Gra o tron*, oraz Lisę Tuttle, pisarkęę SF, fantasy oraz horroru, szeroko znaną z tematyki femiznizmu.

I wśród polskich autorów nie brak takich synergii. Jacek Piekara, autor „cyklu inkwizytorskiego", i Damian Kucharski stworzyli razem książkę *Necrosis: Przebudzenie*, stanowiącą wyrazisty przykład współpracy wyrafinowanego i doświadczonego literata z początkującym pisarzem, co objawia się obopólną korzyścią – jeden korzysta z powiewu świeżości, drugi z praktyk i wprawy współautora. Moim zdaniem najciekawszym jednak utworem w tej grupie pozostaje *Will Grayson, Will Grayson* Johna Greena i Davida Levithana. Pisarze wpadli na dość awangardowy pomysł napisania historii dwóch mężczyzn o tym samym imieniu i nazwisku, będącym symbolicznym odwróceniem relacji w *ars cooperatio*. Ale nie to było szczytem nowatorskości, bowiem Green postanowił zająć się rozdziałami nieparzystymi, a Levithan parzystymi. Każdy zajął się kreacją jednego z dwóch głównych bohaterów, a efekt finalny wyszedł im wcale obiecująco, nie utraciwszy spójności, mimo wymaganego przez dobraną formę narracji pewnego rozdarcia.

Formy krótsze, opowiadania i nowele, nierzadko ukazują się w osobnych woluminach. Nie mam na myśli oczywiście tekstów jednego autora, tylko wielu różnych zebranych we wspólnej książce, które łączy nierzadko tematyka, motyw lub gatunek. Amatorzy konkretnych formuł gatunkowych muszą być wręcz wniebowzięci, gdy światło dzienne ujrzy zbiór mikropowieści światowych legend – np. fantastyki (*Legendy* i *Legendy II* pod redakcją Robert Silverberg) czy literatury sensacyjnej (*Aż śmierć nas rozłączy* pod redakcją Harlana Cobena, który zebrał teksty utrzymane w konwencji thrillera o ludzkich rozłąkach). Antologie mogą skupiać się – jak wcześniej zauważyłem – wokół sprecyzowanych elementów. Takim elementem może być kot (*Trzynaście kotów,* oprac. Danuta Górska i Mirosław Kowalski) czy temat choroby (*Epidemie i zarazy*). Antologie czy prace zbiorowe nie zawsze muszą skupiać się wokół beletrystyki, czasem mogą zawierać reportaże, eseje czy felietony. Odnosić się mogą do wybranych lokacji, dziedzin, czynności. Tematyka zaś może być doprawdy obszerna i różnorodna. Reportaże z *Rachunku sumienia* (oprac. Krystyna Goldberg) odnoszą się na przykład do wydarzeń dziejących się w Polsce, na przełomie lat 1980-1981.

Oprócz kolektywnych utworów, mogę wyróżnić jeszcze cztery inne grupy. Choć nie są one co prawda od razu kojarzone z tematem, wpasowują się w „literacką kooperację", biorącą pod uwagę także osobliwe zapożyczenia, zbiory czy udostępnianie innym swego uniwersum.

Specyficznym przykładem jest swoista współpraca z już nieżyjącymi autorami (z ich bohaterami albo ze światem, nierzadko zarazem z jednym i drugim). Literackie przyswojenia czy zapożyczenia sprowadzają się w większości do tego, iż współcześni twórcy czerpią z utworów pisarzy, których prawa autorskie wygasły, same dzieła zaś stały się dorobkiem kulturowym, przez co nie mają problemów z wykorzystaniem cudzych wytworów i usytuowaniem ich we własnej koncepcji. Można tu wymienić nowatorski cykl Jakuba Ćwieka, który w *Chłopcach* przeniósł bohaterów XX-wiecznej baśni Jamesa M. Barriego we współczesną rzeczywistość – a właściwie w mroczny świat motocyklowego gangu. Autor w charakterystyczny sposób parafrazuje kompleks Piotrusia Pana, idealnie wkomponowując go w ówczesne realia. Nieformalna „kontynuacja" losów bohaterów znacznie różni się od pierwowzoru. Postacie podrosły i choć wciąż pozostają infantylne, próbują zapomnieć o wcześniejszych doświadczeniach. Inny polski pisarz, Andrzej Sapkowski, w *Złotym popołudniu* wkroczył z kolei do *Krainy Czarów*, stwierdzając, iż Carroll inspirował się prawdziwym światem, istniejącym w innym wymiarze, zaś tytułowa Alicja była postacią prawdziwą. Z podobną taktyką zapożyczania bohaterów spotykamy się w satyrycznych utworach, chociażby w Świecie Dysku Pratchetta, czy w komiksach pokroju *Ligii Niezwykłych Dżentelmenów* Alana Moore'a, której niezwykłość polega na kompilacji klasycznych bohaterów w nietuzinkowej grupie. Seria komiksów *Baśnie* Willingama jest przychylnie nastawiona do teorii wieloświatów, umieszczając w ich miejscu bajkowe, legendarne czy baśniowe krainy. Rzeczywistość przedstawiona niestety nie jest taka, jakby się mogło wydawać z powszechnych poglądów na szczęśliwe zakończenia bajek. Bowiem autorzy stworzyli opowieść, w której „baśniowcy" zostali wygnani i musieli zamieszkać w naszym świecie, a sama fabuła zręcznie lawiruje między baśnią współczesną a antybajką. Interesująca nas część natomiast jest napisana w duchu tradycyjnej bajki magicznej, wcale często z mroczniejszym obliczem.

Niedaleko takiej strategii plasuje się otwarcie dla innych swojego uniwersum, aby umożliwić specyficzną zabawę, doświadczyć czegoś „w czyichś butach" – sprawdzając przy okazji różne wizje i ewentualne poprawki względem autorskiego pierwowzoru. Dmitrij Głuchowski po osiągnięciu fenomenalnego sukcesu swoją wizją postapokaliptycznej przyszłości i społeczeństwa zmuszonego do życia w schronach i metrze, postanowił oddać świat stworzony w *Metrze 2033* w ręce innych autorów. Na polskim rynku pojawiają się regularnie powieści z uniwersum, do którego rozwoju niedawno przyczynił się także Polak – Paweł Majka. Często tworzone (i udostępniane) uniwersa łączą się innymi mediami, chociażby ze światem gier – które albo inspirują się literaturą (seria *S.T.A.L.K.E.R.* odwołu-

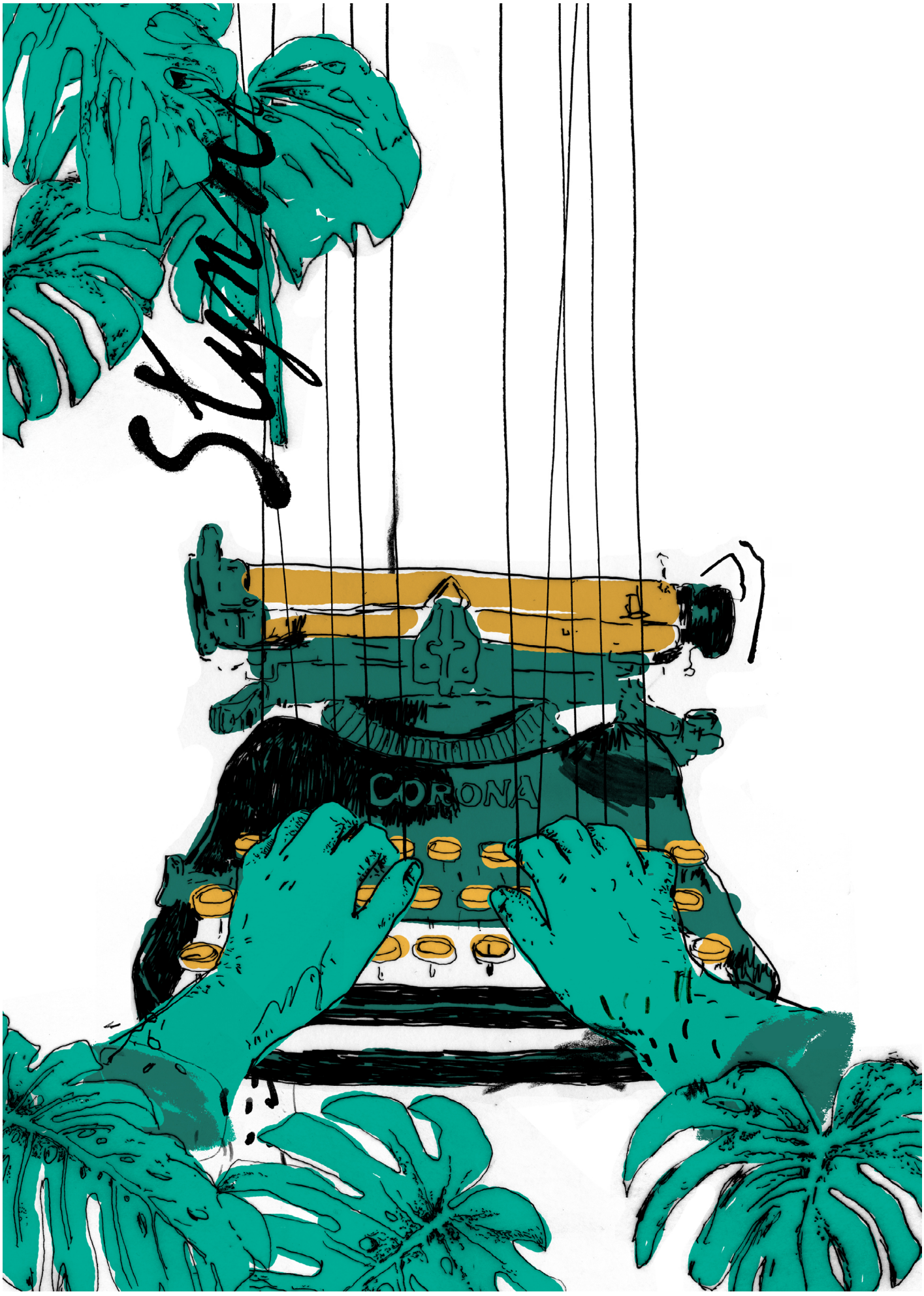
CORONA

je się do tworu braci Strugackich), albo stanowią jej inspirację (gra *Warhammer* zapoczątkowała serię książek). Inne uniwersa przyjęte przez literaturę to m.in. *Mass Effect*, *Warcraft* czy *Diablo*, ale trzeba wymienić również serie zapoczątkowane przez kino czy telewizję: *Gwiezdne wojny* George'a Lucasa czy *Star Trek*.

W literackiej *ars cooperatio* występuje jeszcze jedna forma współpracy, polegająca na kontynuacji niedokończonych dzieł, cykli lub po prosu pożądanego – nieplanowanego – ciągu dalszych losów bohaterów przez innego autora, co prowadzi często do zaniku pierwotnej wizji artystycznej. Szczególnie kuszące dla kontynuatorów są bestsellery – jak chociażby *Przygody Piotrusia Pana*. Barrie swoje prawa autorskie przekazał filantropijnie szpitalowi dziecięcemu Great Ormond Hospital. Placówka dopiero po 75 latach pozwoliła na kontynuowanie opowieści, ogłaszając literacki konkurs, który zwyciężyła Geraldine McCaughrean, autorka *Piotrusia Pana w czerwieni* – oficjalna kontynuacja, dziejąca się później w nieco zmienionej Nibylandii, która wezwała do siebie starych bohaterów. Warto również wspomnieć o Robercie E. Howardzie, twórcy kultowego Conana i „ery hyboryjskiej". Losy bohatera zostały pośmiertnie wielokrotnie kontynuowane przez pisarzy z całego świata (nawet imć Jacek Piekara miał mały wkład w rozwój owego uniwersum). Z seriami osadzonymi w „erze hyboryjskiej" jest jednak ten problem, że może czasem zostać również podpięta pod wcześniejszą kategorię. *Pierścień mroku* Nika Pierunowa to z kolei próba kontynuacji *Władcy Pierścieni*, osadzająca akcję w Śródziemiu 300 lat po Wojnie o Pierścień. Oficjalnie prawa autorskie należą do fundacji Tolkien Estate, kierowanej przez potomków autora pierwowzoru, którzy nigdy nie zaakceptowali dzieła Pierunowa. Dlatego choć oficjalnie powinien być określany jako fan fiction, a nie kontynuacja, wykorzystuje ten sam schemat powstawania.

> **W NURCIE FANTASTYKI O WIELE ŁATWIEJ JEST SIĘ PORUSZAĆ W JEDNEJ OPOWIEŚCI DWÓM BĄDŹ WIELU AUTOROM, GDYŻ MARIAŻ ICH ŚWIATOPOGLĄDÓW I WIZJI MOŻE DODATKOWO UATRAKCYJNIĆ FANTASTYCZNY ŚWIAT**

Osobnym przykładem są dzieła, które z ogromną pieczołowitością podchodzą do woli autora pierwowzoru. Drugi – po Lemie – tuz polskiej science-fiction, Janusz Zajdel, w planach miał kontynuację *Całej prawdy o planecie Ksi*, pozostawił nawet fragmenty oraz konspekt przyszłej książki, której dokończenia uniemożliwiła mu przedwczesna śmierć w 1985 roku, Rodzina wraz z wy-

dawnictwem superNOWA ogłosiły konkurs na kontynuację powieści w 2011 roku. Zwycięzca – Marcin Kowalczyk – mocno posiłkując się dorobkiem, zarysem i zachowanymi notatkami Zajdla, napisał drugą część książki, poruszającej problematykę terroryzmu, systemów politycznych oraz utopii. Podobnie rzecz się miała w przypadku cyklu fantasy amerykańskiego pisarza Roberta Jordana. Ostatni, w dużym stopniu napisany przezeń tom nie został ukończony z powodu nagłej śmierci, jednak pisarz wcześniej na spadkobiercę cyklu wyznaczył Brandona Sandersona. Ten przekuł jedną powieść w trylogię *Koło Czasu*, jako że nie widział innego wyjścia, aby zamknąć wszystkie wątki opowieści.

Mój dobór przykładów – stronniczy i niepełny! – opiera się w znacznym stopniu na literaturze fantastycznej, gdyż to w otoczeniu tego gatunku występują najczęstsze i najbardziej wyraziste pozycje wpasowane w literacką *ars cooperatio*. Jest to zapewne spowodowane faktem, iż w nurcie fantastyki o wiele łatwiej jest się poruszać w jednej opowieści dwóm bądź wielu autorom, gdyż mariaż ich światopoglądów i wizji może dodatkowo uatrakcyjnić fantastyczny świat, zaś samo wyjaśnienie nie powinno sprawić twórcą problemu. Natomiast w książkach niefantastycznych uzasadnienie pewnych zmian, zabiegów czy stylizacji jest o wiele trudniejszym zadaniem, ale bynajmniej nie niemożliwym.

Literatura w swych błoniach ma całe mnóstwo melanży, znacząco utrudniających charakterystykę poszczególnych dziedzin i gatunków. Współcześnie wcale często natrafiamy na istotny problem z zaszufladkowaniem opowieści. Podobnie jest z samą „literacką kooperacją", która bodaj przynależy do najtrudniejszych z klas literatury. Tradycyjny model – pisanie książek przez jedną osobę – nie zostało wyparte i ma się całkiem nieźle; ale przez *ars cooperatio* czytelnik uzyskuje możliwość wyboru, zasmakowania nowego doświadczenia i sprawdzenia, jakie są efekty symbiozy bądź zderzenia dwóch odmiennych, podobnych, ambiwalentnych zarysów, chimer. W gorszej sytuacji są sami twórcy, którzy już w preludium pracy znajdują się w niekomfortowej pozycji, musząc przełamać granice stylów, nawyków etc., a z każdym następnym krokiem jest coraz bardziej pod górkę. Za to sam finał przynosi poszerzenie horyzontów autorów. Naturalnie jest jeszcze trywialny fakt promocji swego nazwiska, nazwiskiem konfratra albo/i konfratrów.

ADRIAN TURZAŃSKI

Urodzony pod znakiem Skorpiona, rocznik '94. Niedopieczony kulturoznawca, pasjonujący się literaturą szeroko pojętą, z naciskiem na beletrystykę kryminalną, historyczną oraz fantastyczną. Człowiek drogi, i zarazem domator, nocny marek a niepoprawny romantyk etc. etc., pomijając wiele innych – na pierwszy rzut oka – fascynujących cech, w istocie okazujących się mdłymi czy odpychającymi – oczywiście po pewnym czasie i dokładniejszym poznaniu jednostki. Przez swoje krótkie życie przebywający w różnych subkulturach, kręgach czy środowiskach. Ma swój gust i swoje zdanie, co należy podkreślić. Bynajmniej nie jest „lemingiem".

KATARZYNA DOMŻALSKA

Absolwentka kierunku Projektowanie Graficzne na ASP we Wrocławiu (2012). Na co dzień zajmuję się projektowaniem graficznym, ilustracją oraz animacją. Laureatka licznych konkursów. Obecnie freelancer.

SĄSIAD

MACIEJ MAKELSON | JUDYTA MIERCZAK

Naprzeciwko nas mieszkał starszy człowiek, nie wiem, ile dokładnie miał lat. Matka mówiła, że kiedy się tu sprowadziliśmy, mieszkał w tym miejscu już od tak dawna, że może nawet od zawsze. Miał przepięknie siwe włosy, siwy wąs, który przygryzał zawsze ze stoickim spokojem, ciepłe brązowe oczy i orli nos.

Byłbym zapomniał – nie miał ręki. Gładko zakończony kikut sterczał ze stoickim spokojem w zupełnie poważny sposób tam, gdzie powinien zaczynać się biceps. Zwykle nie było go widać, gdyż nasz sąsiad zawiązywał tuż pod nim rękaw na supeł. Jeżeli miał na sobie długą koszulę lub sweter, wiązał rękaw, a zwisającą część przewieszał przez ramię, mimo że przecież mógłby ją odciąć. Przecież ręka nigdy mu już nie odrośnie, nigdy tajemniczo nie pojawi się po prawej stronie. Mógłby więc odciąć go swobodnie, ale tego nie robił. Nie posiadał rodziny, więc nie miał nawet komu zapisać w spadku tych ubrań bez odcinanych rękawów, choćby nie wiem jak głupie byłoby zapisywanie komuś starych ubrań. Mógłby oddać je organizacjom charytatywnym, ale doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że skończyłyby jako szmaty do podłogi. Tak były stare i zniszczone, że nikt nie chciałby ich już nosić. A sąsiad zbyt dużym szacunkiem darzył rzeczy codzienne i zwyczajne, którymi pieściła go rzeczywistość, by pozwolić na ich zniszczenie i sprowadzenie do poziomu szmaty. Kraciaste, grubo tkane koszule, które opinały jego ciało, tak były z nim zrośnięte, związane nie tylko pod kikutem, ale przede wszystkim związane z nim samym tak mocno, iż dziwiłem się każdego dnia, że prawy rękaw tych koszul nie zniknął razem z dłonią, przedramieniem i bicepsem.

Kiedy miał na sobie koszulki z krótkim rękawem, zawiązywał materiał tak, że ściśle przylegał on do ciała, ukrywając kikut, ale otaczając bardzo, bardzo ciasno i prezentując w ten sposób może nawet bardziej, niż gdyby sterczał swobodnie, gotowy na ludzkie spojrzenia.

I tylko w lecie, w czasie bezrękawników i gołych torsów, mogliśmy się przyglądać temu bardzo poważnemu

kawałkowi ludzkiego ciała, prawie nieruszającemu się – bo i po co? Był tak krótki, że aż bezużyteczny.

Nasz siwy sąsiad przeżył zawał w kopalni. Zawał kopalniany zupełnie różni się od na przykład zawału serca. Przy tym drugim przestajesz obchodzić swoje serce, które próbuje wbić ci nóż w plecy czy może raczej w pierś. Przy zawale kopalnianym zaczynasz zaprzątać umysły całej lokalnej społeczności, skupionej na tym, czy uda ci się przetrwać, gdziekolwiek jesteś.

Wiertła poszły gdzieś za daleko, gdzie indziej niż przewidział plan, i nagle cały czarny, brudny świat, który otaczał naszego sąsiada, runął mu na głowę. A może wiertła wierciły wedle planu, który nie był dobry, może nawet i plan był odpowiedni, ale wyrywanie żywego ciała z ziemi musiało nieść za sobą jakieś konsekwencje.

Kto nigdy nie był pod ziemią, kto nigdy nie czuł na skórze dłoni, na delikatnej skórze twarzy, w uszach, we włosach kopalnianego pyłu, nie jest w stanie tego zrozumieć. Cały ten ciemny, wrogi, a jednocześnie swojski świat, zawalił mu się na głowę i przytłoczył. Leżał tam przeszło trzy dobry, nim wśród ponagleń lokalnej społeczności dokopali się do niego ratownicy. Leżał, przekraczając granice swojego człowieczeństwa, tylko po to, by móc znowu zobaczyć słońce. Jasne, oślepiające, żółte słońce. Tak piękne, gdy widzi się tylko czerń. A może wcale nie myślał o słońcu, tak banalnym, tak prostym. Może o ludziach, z którymi i tak nie rozmawiał, bo był z natury bardzo cichy, spokojny i zamknięty w sobie. Może o rybach, na

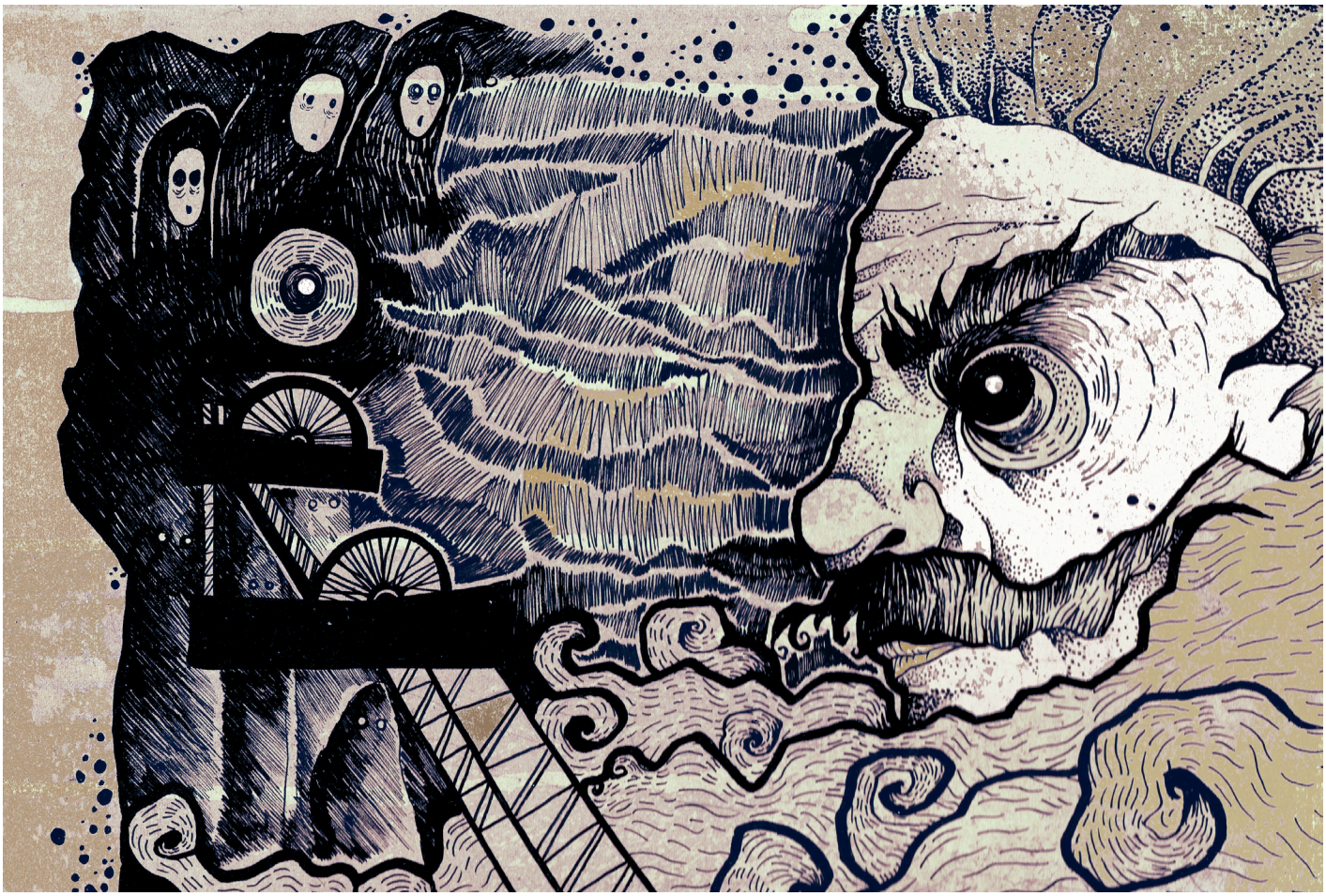

które mógłby pojechać, o smaku porannej kawy, o czymkolwiek. Nie wiem; nigdy go nie spytałem, a gdybym nawet spytał, pewnie uśmiechnąłby się tylko smutno, czule, z pobłażaniem, jak uśmiechał się zwykle do wszystkich.

Leżał, pijąc swój własny mocz, modląc się, by szczeliny między bryłami bogactw ważniejszych od niego nie wypełniły się metanem, modląc się, by nie wdychać go w płuca. By nie rozsadził go wraz ze skałami, które przykrywały jego ciało.

Ratownicy nie byli w stanie wyciągnąć go w całości, ale robili co w ich mocy. Wyciągnęli naszego siwego sąsiada w kawałkach, czarnego od sadzy. Jego ręka, ucięta gdzieś lekko powyżej bicepsa, została między bryłami czarnego kruszcu. Została, by nie ryzykować kolejnego zawału. A jego znowu mogło oślepić światło dnia, mógł zachwycić smak kawy. Znowu mógł milczeć, mając możliwość mówienia i bycia wysłuchanym. Taka zwykła rzecz.

A kiedy po kilku tygodniach w szpitalu przywieźli go już do domu; kiedy pozwolili siedzieć mu w tych smutnych ścianach górniczego mieszkania, którym radosny ton nadawały tylko promienie słońca, te same, które były dla niego ciągle towarem deficytowym; kiedy przyznali mu rentę i pozwolili żyć, choć zupełnie inaczej niż tego chciał – nikt się nie śmiał. Nikt się nawet nie odważył.

Z tego groteskowo krótkiego kikuta, z kalectwa, z tego, że nie pracował, tylko siedział bezczynnie całe dnie wpatrzony w kolorowe obrazki przesuwające się w telewizorze. Z tego, że musiał uczyć się tylu rzeczy od nowa, bo całe życie był praworęczny. Z tego, że był pokraczny, wreszcie z tego, że przez całe trzy doby pił swój własny mocz.

Wszyscy patrzyli na niego z podziwem, mimo że nic nie osiągnął. Nie miał wpływu na to, że go zasypało, na to, że był zawał, i na to, że wielkie, ciężkie bryły węgla umówiły się, by ułożyć się tuż nad nim, nie zabijając go, a tylko skazując na kilkadziesiąt godzin niemego cierpienia, pełnego oczekiwania w ciemności, w bólu i w strachu. Nie miał nawet wpływu na to, że przetrwał, że dotarli do niego, wyciągnęli go stamtąd zupełnie zdekompletowanego, nieprzystosowanego do życia, zepsutego. Patrzyli z podziwem i nikt nawet nie pomyślał, by uśmiechnąć się złośliwie czy podle.

A kto nie jest stąd i tak nie zrozumie.

MACIEJ MAKSELON

Urodzony 28 maja w demokratycznej Polsce, w Knurowie na Górnym Śląsku, w mieście tak małym, że gdyby było ładne, można by je nazwać kameralnym. Syn swojego ojca i matki, ma rodzeństwo – również M.M. Pisze głównie krótkie formy prozatorskie, które nazywa „miniaturkami", a poprzez swoje pisanie stara się dojść do tego, „o co tu chodzi?". Na swój sposób oczywiście – czym wielokrotnie frustruje czytelnika, który zadaje sobie pytanie: „o co tu chodzi?". Współwłaściciel (chociaż status posiadania kota bywa niejasny) dwóch gadających kotów. Studiuje Komparatystykę Literacką na UJ.

JUDYTA MIERCZAK | JUDYTA BLACK LINE

Absolwentka Uniwersytetu Śląskiego, mieszka w Bielsku Białej. Komiksuje, rysuje, maluje, poszukuje.

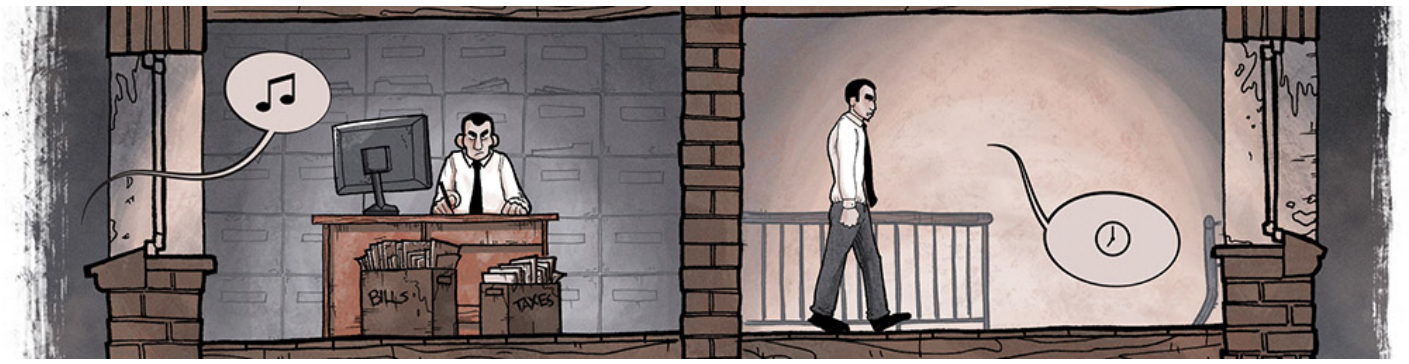

SPOŁEM

KOMIKS

ŁUKASZ MUNIOWSKI | MARIUSZ HOŁOD

ŁUKASZ MUNIOWSKI
Autor scenariuszy do komiksów: „Uowca", „Leniuch", „Kolęda" i kilkunastu shortów. Doktorant w Instytucie Anglistyki Uniwersytetu Warszawskiego.

MARIUSZ HOŁOD
Student Wydziału Architektury na Politechnice Wrocławskiej. W wolnych chwilach zajmuje się tworzeniem komiksów i ilustracji.

BILLS
TAXES
MAX
= $
$ = me
ME

ME...
ONLY...
ME...

ALONE...
CRACK

May I join you?

ŻEBY BYĆ DOBRYM, WYSTARCZY UŚMIECH

BARBARA TRUCHAN | KASIA MATYJASZEWSKA

We współczesnym świecie, coraz częściej nastawionym na konsumpcję i przypadkowe relacje, zaczyna dominować egoizm, ceni się umiejętność zadbania o własne interesy. Trudno zatem zrozumieć, dlaczego ludzie w różnym wieku podejmują się działań społecznych, do których nie są przymuszani i za które nie otrzymują żadnego wynagrodzenia. Pojawiają się głosy, że wolontariat psuje rynek, bo zabiera pracę wykwalifikowanym specjalistom, oraz – może nawet powszechniej – że wolontariusz to frajer, który tyra za darmo.

Wydaje mi się, że zbyt często zapomina się o tym, że wolontariat pod wieloma względami stanowi szansę. Zdobyte podczas wolontariatu doświadczenie może być doskonałym atutem w rozmowie o pracę, a podejmowanie się różnorodnych zajęć sprawia, że może wzrosnąć poziom poczucia własnej wartości. W wielu organizacjach stawia się na pracę w grupie – to wyrabia nawyk cierpliwości i uczy rozwiązywać sprawy sporne. Bywa, że wolontariusz początkowo wrzucony na głęboką wodę, zaczyna się w niej poruszać nie mniej sprawnie niż zawodowy pływak.

Warto jednak dostrzegać różnice między poszczególnymi formami wolontariatu. W niektórych bowiem zatraca się istotne dla takiej działalności poczucie misji i chęć niesienia dobra. Część wolontariuszy biorących udział w np. przygotowaniach festiwali muzycznych, przede wszystkim próbuje przebić się na rynek pracy i zdobyć tzw. kontakty, co ułatwiłoby karierę zawodową. Idea schodzi na drugi plan. Wolontariusz to jednak nie zawód – aspekt społeczny najłatwiej dostrzec w drobnych działaniach, za które nie dostaje się certyfikatów i tytułu „Najlepszego wolontariusza roku". Może to być pomaganie dzieciom w świetlicy w odrabianiu pracy domowej, przygotowywanie jasełek dla osób przebywających w domach opieki społecznej czy spędzanie czasu z podopiecznymi domów dziecka. Pomaganie nie jest banalne, nawet jeśli ogranicza się do czuwania przy szpitalnym łóżku. Czasami, żeby być dobrym, wystarczy uśmiech…

W Polsce jakiś czas temu wydano książkę bloggerki Agnieszki Kalugi. W *Zorkowni* autorka opisuje swoje doświadczenia z wolontariatu w hospicjum. Dzieli się trudną codziennością, na którą nakładają się jej osobiste problemy. W tym wszystkim zachowuje dystans do negatywnych wydarzeń, a trudności nie zabierają jej nadziei

na lepsze jutro. Mam wrażenie, że to właśnie tego uczy wolontariat – by się nie poddawać, nawet jeśli nie widać żadnych rezultatów.

Działania prospołeczne dają nam o wiele więcej niż można byłoby przypuszczać. Wprawdzie nierzadko jest trudno o bezinteresowność, bo relacje z innymi ludźmi coraz częściej przypominają umowę na zasadzie „ja ci to, a ty mi tamto". Nie mogę się oprzeć jednak wrażeniu, że tak wiele zależy od ludzi, którzy nas otaczają – zapomina się nagminnie, że sukces nigdy nie jest osiągany w pojedynkę, bo nawet mistrz świata kiedyś korzystał z pomocy innych – rodzice kupili farby, a dziadek zapłacił czesne. Bycie wolontariuszem uczy nie tylko odpowiedzialności, lepszej organizacji czasu, ale także tego, że robienie rzeczy wspólnie ma sens.

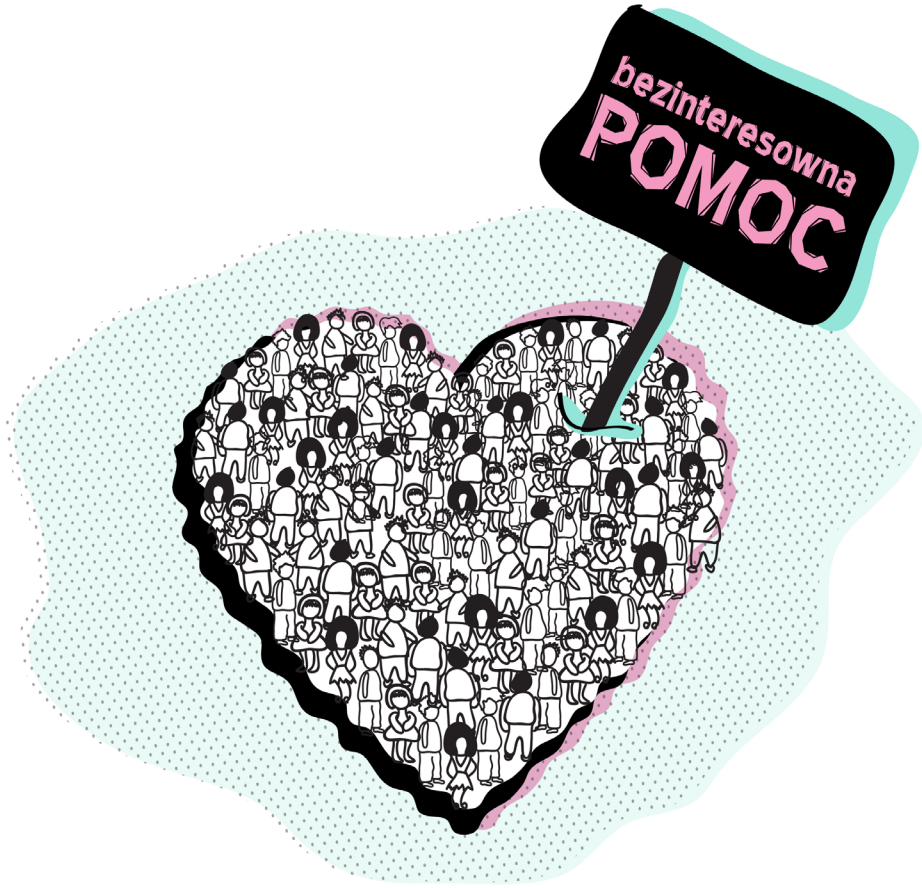

Co więcej, dziś o wiele łatwiej przyłączyć się do działań prospołecznych. Naprzeciw wychodzi e-wolontariat. W Polsce istnieje od kilku lat portal www.e-wolontariat.pl, dostarczający niezbędnych informacji dla początkujących. E-wolontariusz to osoba, która działa społecznie, korzystając z nowych technologii, a podstawowymi jej narzędziami pracy są komputer i stałe łącze internetowe. Obecnie najwięcej zleceń skierowanych jest do grafików komputerowych, redaktorów, tłumaczy, informatyków czy też specjalistów ds. public relations. Paleta możliwości jest szeroka. Warto wspomnieć również o portalu www.ngo.pl, który gromadzi ogłoszenia dotyczących różnych form wolontariatu, w tym także tego internetowego. Stanowi pewnego rodzaju łącznik między stowarzyszeniami a wolontariuszami. W wolontariat zdalny mogą zaangażować się wszyscy, także osoby ograniczone ruchowo i te ceniące w większej mierze poczucie wolności. Czasem korzystam z tej formy, wykonując tłumaczenia dla organizacji pozarządowych. Zdecydowanie wolę jednak wolontariat w tradycyjnej formie, bo pozwala na interakcje z drugim człowiekiem i swobodniejszą wymianę myśli.

Nie istnieje żadna specjalna ścieżka, którą trzeba podążać, żeby zostać wolontariuszem. Tak naprawdę liczą się przede wszystkim intencje i otwarcie się na drugiego człowieka. Bo działanie razem ma znaczenie – wystarczy uśmiech, dobre słowo, przytulenie, a już podzieliliśmy się naszą iskrą dobra.

BARBARA TRUCHAN
Na co dzień studiuje filologię angielską, w wolnych chwilach próbuje rozgryźć, czym jest szczęście, marzy naiwnie jak dziecko.

KASIA MATYJASZEWSKA
Absolwentka Wydziału Artystycznego UMCS w Lublinie oraz Lubelskiej Szkoły Sztuki i Projektowania. Zajmuje się projektowaniem graficznym i ilustracją. W wolnych chwilach fotografuje neony, podróżuje po Europie.

WALL OF FAME.

D.
MICHAŁ ADAMIEC |
MICHAL.ADAMIEC@HOTMAIL.COM
WWW.MICHALADAMIEC.PL

D.
KATARZYNA DOMŻALSKA |
DOMZALSKA.KATARZYNA@GMAIL.COM
WWW.KATARZYNADOMZALSKA.BLOGSPOT.COM

MAŁGORZATA DUDEK |
NIEBAWEM@GMAIL.COM
WWW.FACEBOOK.COM/EXTREMAZJA

G.
WERONIKA „WERA" GRZYWA |
WWW.BEHANCE.NET/WERAWERA
GRZYWA.WERONIKA@02.PL

H.
MARIUSZ HOŁOD |
MARIUSZ.HOLOD@GMAIL.COM
WWW.MARIUSZ-DARIUSZ.DEVIANTART.COM

J.
JACHYM JERZY |
JERZYJACHYM@ICLOUD.COM
WWW.FACEBOOK.COM/JACHYMJERZY

K.
MAGDALENA KOŹLICKA |
MKOZLICKA@GMAIL.COM
WWW.CARGOCOLLECTIVE.COM/
MAGDAKOZLICKA

JAKUB KUSY |
FREELANCER.KRK@GMAIL.COM

Ł.
SEBASTIAN ŁĄKAS |
BASTKK@GMAIL.COM

M.
DAWID MALEK |
WWW.MALEKILU.BLOGSPOT.COM
WWW.BEHANCE.NET/DAVIDMALEK

WALL OF FAME.

DAGMARA MARCINEK |
WWW.MISSWALDORF.PL

KASIA MATYJASZEWSKA |
INFO@LITTLEBYLITTLE.PL
WWW.LITTLEBYLITTLE.PL

JUDYTA MIERCZAK |
JUDYTAMT@GMAIL.COM
WWW.FACEBOOK.COM/BLACKLINEARTWORK

ŁUKASZ MUNIOWSKI |
LUKASZMUNIOWSKI@02.PL
WWW.KOMIKSYLUKASZA.BLOGSPOT.COM

N.

KATARZYNA NOWACKA |
KATARZYNABNOWACKA@GMAIL.COM

R.

MAŁGORZATA RYBKA |
MALGORZATARYBKA@VP.PL
WWW.FACEBOOK.COM/
LITTLEFISHILLUSTRATIONS

S.

MARTA STAŃCZYK |
STANCZYKOWA@GMAIL.COM

T.

AGATA TRYBUS |
AGATA.TRYBUS@GMAIL.COM

W.

AGATA WIECZOROWSKA |
WWW.KALUZAPELNAMIRABELEK.
WORDPRESS.COM

WE WANT YOU!

PISZ NA: REDAKCJA@FUSS.COM.PL

FUSS WSPÓŁTWORZONY JEST PRZEZ PASJONATÓW – OSOBY OTWARTE, CHĘTNE DO DZIELENIA SIĘ SWOIMI PRZEMYŚLENIAMI, ZAJAWKAMI, PODRÓŻAMI, KULTUROWYMI I SPOŁECZNYMI FASCYNACJAMI. ZACHĘCAMY DO WYSYŁANIA SWOICH PROPOZYCJI TEKSTÓW.

ZACHĘCAMY TAKŻE DO WSPÓŁPRACY GRAFIKÓW, ILUSTRATORÓW, FOTOGRAFÓW I WSZYSTKICH, KTÓRYM NIE OBCA JEST WOLNOŚĆ TWÓRCZA I CHĘĆ ARTYSTYCZNEGO WYRAZU. PROSIMY O PRZESYŁANIE PORTFOLIO. SKONTAKTUJEMY SIĘ Z WYBRANYMI TWÓRCAMI.